POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień | ***Dnia 27-go czerwca 1942r.*** | **Rok IV. Nr. 26**

STRATEGIA I DYPLOMACJA

Co ma wspólnego dyplomacja ze strategią? Toć to dwie zupełnie różne dziedziny działalności ludzkiej. Strategia to kierowanie zbrojnymi walkami dla zniszczenia bojowej siły nieprzyjaciela—dyplomacja to sztuka układów i porozumień. Wielu czytelników tak pomyślało przeczytawszy tytuł niniejszego artykułu.

A jednak Clausewitz wręcz określa wojnę jako uzupełnienie dyplomacji. I zarówno Cezar jak Napoleon byli nie tylko genialnymi strategami lecz i świetnymi dyplomatami. Pomimo całej olbrzymiej różnicy pól bitew od gabinetów i sal dyplomatycznych konferencyj—naczelnym zadaniem zarówno dyplomacji, jak strategii jest postawienie przeciwnika w pozycji uniemożliwiającej mu skuteczne przeciwstawienie się zamierzonym przez nas celom.

To też i w strategii i w dyplomacji zwycięża ten tylko, kto nigdy ani na chwilę nie traci z oczu ostatecznego celu swych działań i nie pozwala narzucić sobie postępowania przez stronę przeciwną.

Nie wszyscy wodzowie tak postępowali. Wiedza strategiczna, szczególnie wojny manewrowej została niezwykle udoskonalona przez kondotierów włoskich doby odrodzenia. Ale już pod koniec tej epoki zaczął się podbój Włoch przez królów hiszpańskich i cesarzy niemieckich, a na tronie neapolitańskim zasiadła dynastia francuska. Bo manewry kondotierów włoskich za główne swe zadanie miały unikanie silnych krwawych starć. Wódz wojsk najemnych szczędził nade wszystko życie swych żołnierzy. To też i żołnierz włoski nauczył się cenić sobie więcej zachowanie życia od zwycięstwa. A wtedy przyszedł zmierzch potęgi i świetności Mediolanu, Genui, Wenecji i Padwy, nawet państwa papieskiego.

W ten sam sposób jak owi kondotierzy na ziemiach księstw i republik włoskich manewrowali wszyscy kierownicy polityki państw europejskich. W dobie Monachium zgodzili się na przyłączenie Sudetów do Niemiec, by ratować niepodległość reszty Czechosłowacji. I ani się spostrzegli jak oddawszy w ręce Hitlera inicjatywę w dyplomacji europejskiej, znaleźli się w niemożności zapobieżenia zaborowi całej Czechosłowacji przez Niemcy.

Są i dziś jeszcze niektórzy tego składu umysłu politycy, którzy za naczelne zadanie dyplomacji uważają unikanie każdego wystąpienia, każdego nawet słowa, które mogłoby wywołać sprzeciw z jakiejkolwiek strony. Im przeciwnik głośniej i śmielej stawia godzące w nasze interesy tezy—tym bardziej, ich zdaniem, należy strzec się zaostrzania sporu. A gdy znów zmieni się na naszą korzyść koniunktura, wówczas należy nie stawiać zbyt wyraźnie swych żądań, bo mogło by to wywołać dyskusję, która a nuż by ujawniła, że druga strona na razie się tylko cofnęła z zajmowanych poprzednio stanowisk, ale nie zrezygnowała jeszcze ostatecznie z ich odzyskania. Na szczęście nie w ręku takich ludzi jest dziś kierownictwo naszej polityki zagranicznej.

Przestały też już być, dzięki Bogu, przewodnimi naszej dyplomacji wskazaniami, dwa głośne swego czasu, a wiernie stosowane aż do katastrofy wrześniowej powiedzenia. Pierwsze: "polityka jest fałszywą grą" i drugie: "gdy mnie ciągną na lewo—przeskakuję na prawo, gdy mnie ciągną na prawo—przesuwam się na lewo." Ciągłe lawirowanie między zwalczającymi się obozami uchodziło za Becka za szczyt sztuki dyplomatycznej. Wszyscy wiemy jak się to skończyło. Strasząc przez długie lata Rosję sojuszem z Niemcami, a w ostatniej znów chwili kokietując z Z.S.R.R.—ówczesna nasza dyplomacja wywołała nieufność do Polski obu naszych sąsiadów, którzy się ostatecznie między sobą przeciwko nam porozumieli.

Może sklepikarz warszawski na Nalewkach lub lwowski na Krakowiakach każdemu klientowi fałszywie mierzyć lub ważyć. Bo tych klientów jest tłum. Nie przyjdzie raz oszukany—to przyjdzie drugi. Ale na terenie polityki międzynarodowej jest partnerów niewielu. Kto trzech wyprowadzi w pole, kto trzech zawiedzie—ten u nikogo już nie znajdzie pełnego zaufania.

Wbrew utartemu poglądowi, że polityka jest tym lepsza, im bardziej jest przebiegła i zwodnicza, im śmielej operuje kłamstwem, im łatwiej łamie dane przyrzeczenia i im bardziej trzyma swe prawdziwe cele w tajemnicy—twierdzę stanowczo, że tego rodzaju dyplomacja kończy się zawsze po okresie przejściowych powodzeń—katastrofą. I właśnie dlatego polityka Hitlera skończy się niebywałym w dotychczasowej historii pogromem Niemiec.

Naprawdę dobra jest tylko dyplomacja rzetelna. Bo nie ma państwa, które może obywać się bez rzetelnych sojuszników, co go nie opuszczą w nieszczęściu. A wiernych przyjaciół zdobywa się jedynie wiernością w dotrzymywaniu własnych zobowiązań. Nawet wobec kontrahenta nie wywiązującego się ściśle ze swych przyrzeczeń należy, domagając się mocno i wytrwale ścisłego wykonania zawartych umów—ze swej strony zachować pełną lojalność. Umacnia to bowiem naszą pozycję w opinii innych państw i pozwala szukać u nich pomocy, w razie potrzeby, przeciwko podstępom czy wykrętom nie dość lojalnego sojusznika.

I dlatego dobre i słuszne jest, że pomimo, iż zarówno uwalnianie naszych rodaków z więzień, jak i formowanie naszych wojsk na terenie Z.S.R.R. pozostawia wciąż jeszcze wiele do życzenia, generał Sikorski wywiązując się skrupulatnie z sojuszniczych zobowiązań Polski wobec Rosji w swych rozmowach w Waszyngtonie usilnie orędował za jak najskuteczniejszym wspomaganiem czerwonej armii w jej zmaganiach się z Niemcami. Nie pomniejszyło to, lecz wzmocniło uznanie dla stanowiska polskiego, opierającego się ściśle na zasadach Karty Atlantyckiej w sprawie zarówno nienaruszalności własnego naszego terytorium państwowego, jak i przyszłości sąsiadujących z nami krajów.

Niepowodzenie strategii sprzymierzonych przeciwko Fryderykowi pruskiemu państw spowodowała nierzetelność ich dyplomacji.

Dziś na szczęście na czele koalicji walczącej przeciwko zaborczości państw osi stoją Wielka Brytania i Stany Zjednoczone—dwa kraje, w których pierwszym warunkiem, aby dojść do kierowniczego w życiu państwowym stanowiska, jest ściśle dotrzymywanie powziętych zobowiązań i lojalność we wszelkim współdziałaniu. Angielski i amerykański dyplomata uchyli się od odpowiedzi na pytanie w sprawie, której nie chce wyjaśnić—ale nie powie "nie," gdy jest "tak," ani nie obieca z powziętym z góry zamiarem niedotrzymania przyrzeczenia.

I tak samo postępuje nasza obecna polityka zagraniczna; a może tak postępować—bo ma cele zgodne nie tylko z własnym naszym, polskim interesem, lecz interesem całej ludzkości, tak jak ją pojmuje ogół sprzymierzonych narodów i od dążenia do tych celów nie dała się nigdy odwieść żadnymi manewrami jej przeciwników. Cele te są wyraźnie określone w programowej deklaracji rządu: "wyzwolenie Ojczyzny i uzyskanie należnego Jej miejsca w rodzinie wolnych narodów przez najwydatniejszy udział wojenny Polski w obozie walczącej demokracji oraz przez zapewnienie Polsce, obok bezpośredniego i rozległego dostępu do morza—granic dających pełną rękojmię bezpieczeństwa i dobrobytu Rzplitej."

Mając ten cel przed oczyma gen. Sikorski natychmiast po ataku Hitlera na Rosję oświadczył gotowość Polski czynnego wejścia w ten nowy konflikt wojenny po stronie Rosji. Było wiele, bardzo wiele choć postronnych, ale niezwykle wymownych powodów niedowierzania Z.S.R.R. i nieudzielenia mu naszego absolutorium na to wszystko, co w stosunku do nas uczynił w 1939, 1940 i pierwszej połowie 1941 r. I nie brakło wybitnych skądinąd polityków naszych, którzy te właśnie postronne motywy ponad wszystko stawiali: uważając za lepsze bierne pozostawanie w roli widza wojny rosyjsko-niemieckiej, niż ryzyko wzięcia w niej udziału bez absolutnie pewnych gwarancji traktatowych. Dziś chyba i oni już rozumieją—choć oczywiście głośno się do tego nie przyznają—że jedynie dobrym momentem dla wejścia w rolę sprzymierzeńca państw sprzymierzonych i Z.S.R.R. w walkach na wschodnim froncie był właśnie moment zawarcia układu polsko-sowieckiego.

A uchwycenie dobrego momentu decyduje o powodzeniu akcyj w dyplomacji tak samo jak w strategii. Najlepiej przygotowany plan działania zawiedzie, gdy go się wykona za późno—a najśmielsze ryzyko daje dobre wyniki i na wojnie i w polityce, gdy zostało podjęte w odpowiedniej chwili, pozwalającej na zmienienie układu sił na naszą korzyść. Dla zawarcia układu polsko-rosyjskiego najodpowiedniejszym momentem była ta chwila—gdy samo już przystąpienie do tworzenia polskiej armii dla walki wespół z rosyjskimi wojskami na wschodzie Europy było naprawdę cenne i dla Z.S.R.R. i dla Wielkiej Brytanii. Że ta chwila została dobrze uchwycona i wykorzystana zawdzięczamy to w dużej właśnie mierze ścisłemu związkowi obecnej naszej dyplomacji z nieustannym dążeniem do powiększania realnego naszego wkładu w walkę zbrojną przeciwko państwom osi.

A do należytej oceny przez świat cały wartości tego naszego wkładu przyczyniła się znakomicie ogłoszona w kilka miesięcy później na Kremlu deklaracja polskiego premiera i naczelnego wodza z szefem państwa sowieckiego, o wspólnych obu reprezentowanych przez nie państw, celach wojny.

Sojusz z Z.S.R.R. nie tylko nie pomniejszył samodzielności naszej dyplomacji, lecz wręcz przeciwnie dał nam o wiele lepszą, niż mieliśmy poprzednio podstawę dla skutecznej obrony całości i bezpieczeństwa naszych wschodnich rubieży oraz naszych żywotnych interesów na terenie wschodniej Europy.

Zdobyta w ten sposób pozycja została znakomicie umocniona przez rozmowy generała Sikorskiego w Białym Domu. Rozmowy te stwierdziły całkowitą zgodność polskiego poglądu na bieżące sprawy polityki europejskiej z poglądem prezydenta Roosevelta. Ten sam też pogląd przebija przez wszystkie postanowienia ogłoszonego ostatnio układu angielsko-sowieckiego.

STANISŁAW GRABSKI

rys. Stefan Osiecki



Dzień dwudziestego siódmego czerwca jest dniem Imienin Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Władysława Raczkiewicza. W tym dniu wszyscy Połacy łączą się w najlepszych życzeniach dla Głowy Państwa Polskiego, które jest, które walczy, które przez cierpienia i ofiary zdąża ku lepszej przyszłości.

Postawa Ameryki i Polonii

Po moim powrocie z Ameryki stale słyszałem zapytanie:

—Czy Stany Zjednoczone zdają sobie już sprawę, że są w wojnie?

Na pozór w państwie Wuja Sama życie nie wiele zmieniło się od grudnia ubiegłego roku, kiedy to Ameryka zmuszona była przystąpić do wojny światowej. Nie ma black-outów, nie ma ograniczeń żywnościowych, za wyjątkiem cukru, samoloty pasażerskie i koleje kursują normalnie, teatry i kina przepełnione, świątła na Broadway'u zapalają jak dawniej . . .

A jednak Ameryka jest w wojnie. Uważny obserwator spostrzega to odrazu, gdy zbliża się do wielkich ośrodków przemysłowych. Przemysł amerykański pracuje dziś całą parą na potrzeby wojenne. Na polach i łąkach stoją setki nowiutkich samolotów różnych typów, wypuszczonych z fabryk, które dotychczas wytwarzały samochody. Widać czołgi, działa, sanitarki, samochody ciężarowe dla wojska. Wielkie hotele w znanych miejscowościach kąpielowych nadmorskich, jak np. na Florydzie i w Atlantic City, zajęte są przez władze wojskowe, na plażach rozstawione są namioty, wojsko odbywa swe codzienne ćwiczenia. Około 5 milionów mężczyzn powołanych zostało do służby wojskowej, w tym około miliona przeznaczono do lotnictwa.

Program zbrojeniowy rządu Stanów Zjednoczonych przewiduje do końca 1943 roku budowę 185 tysięcy samolotów, 120 tysięcy czołgów oraz okrętów około 18 milionów ton pojemności . . .

Jest wielkim nieporozumieniem, jeśli ktokolwiek — ulegając sugestii powszechnie przyjętych sloganów—sądzi, że obecne nastawienie w Ameryce kół rządzących jest idealistyczne. Nastroje i plany w dążeniu do "nowego, lepszego świata" są z pewnością bardziej podobne do nastrojów Kongresu Wiedeńskiego, aniżeli nastrojów które ożywiały Wilsona i jego przyjaciół w r. 1919.

Eksperyment idealistyczny — mówią politycy amerykańscy—nie udał się i naraził świat na straszną wojnę. Po zwycięskim zakończeniu tej wojny nie powtórzymy błędów przeszłości. Dążenie do wolności i sprawiedliwości? Naturalnie, ale przede wszystkim trzeba stworzyć gwarancję siły. Jest to rzeczą smutną, ale prawdziwą, że w stosunkach międzynarodowych rozstrzyga i dłuższy czas jeszcze decydować będzie siła.

Błędem jednak byłoby sądzić, że obecny realizm w polityce Stanów Zjednoczonych pozbawiony jest całkowicie podstaw idealistycznych. Polityka prezydenta Roosevelta, gdyż on dziś sprawuje rządy dusz i uosabia dążenia Stanów Zjednoczonych stanowi połączenie idealizmu w założeniach i realizmu w wykonaniu i urzeczywistnianiu zamierzeń. Karta Atlantycka stanowi credo prezydenta Roosevelta, ale zasady Karty będa poparte siłą zbrojną Stanów Zjednoczonych. Odniosłem wrażenie, że doktryna Monroego, pogląd, że Amerykę nic nie obchodzi poza Ameryką—bezpowrotnie przeszedł do historii. Ameryka z racji skurczenia się świata całkowicie zbliżyła się do Europy i będzie dzielić w przyszłości jej dole i niedole.

Już w pierwszych dniach mego pobytu w Waszyngtonie mogłem się przekonać z rozmów z politykami amerykańskimi i z odgłosów prasy, że premier rządu polskiego, generał Sikorski, dobrze wyczuł i zrozumiał nastroje i postawę miarodajnych kół rządzących. Zyskał sobie ich sympatię i zaufanie, gdy jako leader ujarzmionych przez Niemcy państw stanął mocno w obronie prawa do życia i bytu niepodległego wszystkich narodów, wielkich i małych. Głosząc ideały wolności i sprawiedliwości, jednocześnie Generał rozwinął realny plan stworzenia warunków bezpieczeństwa przez konfederację państw środkowo-europejskich.

Plan ten niewątpliwie odpowiada poglądom prezydenta Roosevelta. Ale nie trzeba zamykać oczu i na niebezpieczeństwa. Ostatnio w Ameryce rozwija się pogląd że państwa średnie i małe nie będą w możności porozumieć się i stworzyć istotnych warunków bezpieczeństwa i siły i że należy dla utrzymania i zapewnienia pokoju powierzyć wielkim mocarstwom role "policjantów," utrzymujących spokój w poszczególnych częściach świata. Kandydatami na "żandarmów" w świecie są: Anglia dla Europy zachodniej, Rosja dla wschodniej i środkowej, Chiny na Azję i Stany Zjednoczone na kontynent amerykański. Prowadzona jest duża akcja w kierunku pozyskania dla tej "koncepcji" uniwersytetów amerykańskich, których profesorowie i uczeni odgrywają dużą rolę w dziedzinie politycznej i gospodarczej.

Biorąc zatem pod uwagę, że Stany Zjednoczone będą czynnikiem rozstrzygającym nie tylko na polu walki, ale i w czasie konferencji pokojowej, przy ustalaniu podstaw nowego porządku rzeczy i granic państw, cała uwaga wszystkich zainteresowanych czynników zwrócona jest na Amerykę. Powstają i ścierają się tam różne poglądy i plany na przyszłość, nie zawsze dla Polski korzystne. Posiadamy w Ameryce duży kapitał moralny i wielkie złoża energii w postaci śpiącej Polonii Amerykańskiej. W stosunku do naszych możliwości nasz wysiłek propagandowy jest minimalny. Wleczemy się w ogonie za propagandą czechosłowacką i belgijską.

Czas więc najwyższy pomyśleć o tym, by wkład do obecnej wojny naszego wojska, kraju i prace rządu nie zostały zmarnowane.

W Stanach Zjednoczonych posiadamy poważną pozycję, niezawsze należycie docenianą—Polonię amerykańską. Nasz poważny kapitał moralny jaki posiadamy w tym kraju, zawdzięczamy nie tylko bohaterskiej postawie narodu polskiego wobec najeźdźcy, nie tylko wspaniałym dowodom męstwa naszych lotników i marynarzy, ale i w dużej mierze pięciomilionowej rzeszy obywateli amerykańskich pochodzenia polskiego.

Polacy amerykańscy są dobrymi obywatelami swej nowej ojczyzny, nie tylko lojalnymi, ale oddanymi jej duszą i ciałem. Jako żołnierze amerykańscy biją się świetnie, jest ich już wielu wśród poległych w walce z Japończykami na Pacyfiku. W fabrykach samolotów i broni, przy wytwarzaniu najbardziej precyzyjnych części, wymagających zachowania tajemnicy—są Polacy. A poza tym czynniki miarodajne liczą się bardzo z głosami polskimi podczas wyborów na prezydenta, do parlamentu, na gubernatorów i majorów miast, na sędziów i t.d.

Podczas dwumiesięcznego pobytu mego w Ameryce, mogłem przekonać się dosadnie, że Polacy Amerykańscy mają serce i sentyment dla Polski. Często uczucia te są niewidoczne, uśpione; ale gdy zostaną obudzone wtedy wybuchają płomieniem miłości i przywiązania do ojczyzny ojców i dziadów.

Może mnie tu ktoś zapytać, ale dlaczegóż w takim razie nie udał się w Ameryce zaciąg ochotniczy do naszej armii. Odpowiem, że na to złożyło się szereg przyczyn, a przede wszystkim nieznajomość terenu i psychiki nowych pokoleń. Nie poszli Polacy, ale napewno nie poszliby i Niemcy i Irlandczycy i Włosi, gdyby ich kraje macierzyste powoływały ich pod broń.

W tym wypadku nie powinno się było opierać na podobieństwie z poprzedniej wojny, gdyż wtedy ci, co poszli do armii Hallera, urodzili się w Polsce, w dużej liczbie byli obywatelami polskimi i tkwili korzeniami w kraju macierzystym. Większość ich wyjechała z Polski, by zarobić pieniądze i wrócić do niej. Natomiast obecne pokolenie polskie to sa już Amerykanie, którzy mówią między sobą po angielsku, myślą i czują, jak inni obywatele Stanów Zjednoczonych. Prawda, zachowali świadomość swego polskiego pochodzenia i sentyment dla kraju ojców. Będą oni popierać moralnie i materialnie sprawę polską, ale nie dadzą daniny krwi.

Z naturalnym procesem amerykanizacji Polonii naszej trzeba się pogodzić, ale jednocześnie trzeba wszystko uczynić, aby pozostała jak najdłużej między Polską a Polonią Amerykańską ścisła więź duchowa. Niemcy amerykańscy nie mówią już po niemiecku, a jednak świadomość pochodzenia, poczucia przynależności do rasy germańskiej i związek z *Vaterlandem* są bardzo silne.

Młode pokolenie polskie w Ameryce przejawia dużo ambicji i pnie się w górę do wyższych szczebli hierarchii społecznej i urzędniczej. Uważam to za objaw dodatni, należało by tylko zaopiekować się młodzieżą i informować ją o Polsce, jej kulturze, zagadnieniach politycznych, gospodarczych i t.p. Muszę stwierdzić, że młodzież nasza mało co wie o Polsce.

Najłatwiej możemy trafić do młodzieży przez szkoły i związki parafialne. Należy pamiętać, że 95 procent Polonii należy do parafii polskich, przy każdym kościele parafialnym jest szkoła, w której nauczają nauczycielki-zakonnice. Nauka odbywa się w języku angielskim, język polski jest jednym z przedmiotów wykładowych. Poważna część dziatwy spotyka się dopiero w szkole z językiem polskim, gdyż w domu rodzice mówią już po angielsku. Przemawiając do 600 sióstr-nauczycielek, spotkałem si~ u nich z ogromnym zainteresowaniem sprawami polskimi, literaturą, szkolnictwem naszym.

Żywym echem odbijały się wśród Polonii prześladowania i cierpienia naszego kraju. Radują się i dumni są Polacy amerykańscy z wojska naszego, zwłaszcza z wyczynów lotnictwa i marynarki. Nie lubią natomiast słuchać o naszych swarach wewnętrznych i na ogół nic ich to nie obchodzi. Artykuły opozycyjne jednego z pism w New Yorku, czym niektórzy tak przejmują się w Londynie, nie mają żadnego znaczenia w Ameryce.

Polonią Amerykańską warto się interesować i zajmować, gdyż po pierwsze jest to wielka gałąź naszego narodu, a po drugie głos jej będzie miał swój wpływ i na konferencji pokojowej, która prawdopodobnie odbywać się będzie w Waszyngtonie, i przy układaniu się stosunków między Polską a Stanami Zjednoczonymi A.P.

X. ZYGMUNT KACZYŃSKI

Jeszcze o układzie polsko-rosyjskim

Premier Rządu R.P. i Naczelny Wódz gen. Władysław Sikorski przemawiając na Radzie Narodowej w dn. 15 czerwca b.r. powiedział, że bez porozumienia polsko-sowieckiego z lipca 1941 r., nie byłoby możliwe zawarcie paktu angielsko-rosyjskiego z dn. 26 maja b.r. w takiej, jak to się stało formie.

Pragnąc rozwinąć powyższe sformułowanie, sądzę, że bez cienia przesady mogę zaryzykować stwierdzenie: gdyby Rząd Polski nie był zawarł układu z Rosją to układ angielsko-rosyjski mógł być może zawarty ze szkodą dla interesów Polski. Jeżeli w układzie angielsko-sowieckim interesy Polski nie zostały nigdzie naruszone, to stało się to właśnie dlatego, że Polska mogła nie tylko jako sprzymierzeniec Anglii, lecz i Rosji Sowieckiej bronić swoich praw na stopie równouprawnionego alianta.

Akty polityczne, zwłaszcza w polityce zagranicznej, mają znaczenie nie tylko w chwili ich powstawania, ale nabierają z reguły doniosłości dopiero po pewnym czasie, i w zestawieniu z wydarzeniami politycznymi w świecie.

Oponenci układu polsko-sowieckiego posługują się mniej więcej następującymi argumentami: Rosja Sowiecka wyrządziła nam krzywdę, gdyż napadła na Polskę w chwili śmiertelnej walki z Niemcami. A następnie, że wywiozła w głąb Rosji masy naszych obywateli na głód i poniewierkę; że Sowiety nie zgodziły się na wyraźną gwarancję naszych wschodnich granic, a w końcu, że w ogóle nie dotrzymają postanowień układu.

Argumentu przeciwników układu, że z Rosją Sowiecką nie należy się w ogóle układać, bo zostanie szybko przez Niemców pobita, nie potrzeba obalać. Został on już obalony przez dobrze przygotowane i dzielnie bijące się wojska sowieckie.

Prawdą jest, że Rosja Sowiecka zaatakowała Polskę w chwili, kiedy ta krwawiła się w śmiertelnym pojedynku z Niemcami. Jak również i prawdą jest, że Sowiety wywiozły setki tysięcy obywateli polskich w głąb Rosji. Ale czyż Rząd Polski miał dlatego trwać nadal na stanowisku wojny teoretycznej, mówiąc delikatnie w roli zagniewanego i rozżalonego na Sowiety obserwatora, bez zdobycia się na odważne wysunięcie wniosków z faktu zaatakowania Rosji przez Niemcy.

Gniewy i żale są głęboko ludzkimi uczuciami, lecz nie są instrumentem polityki. A jeżeli dla któregokolwiek z narodów na świecie, to przede wszystkim dla Polski, atak Niemców na Rosję Sowiecką był wielkim podarunkiem losu. Przez uderzenie niemieckie Rosja stała się automatycznie nie tylko pożądanym, ale jakżeż cennym sprzymierzeńcem wszystkich narodów, a między nimi i Polski, walczących z Niemcami i ich satelitami.

Czyż w tak gruntownie zmienionej sytuacji mógł Rząd Polski utrzymywać teoretyczny stan wojny między Polską a Rosją?

Taki stan doprowadziłby przecież automatycznie do rozejścia się polskiej polityki z polityką wszystkich sprzymierzonych przeciwko Niemcom narodów. Takiej polityki nie zrozumiałby świat i nie przebaczyłby jej Rządowi naród polski. Fakt, że cały Kraj znalazł się pod okrutną niemiecką okupacją, miał też swoją wymowę tak dla świata, jak i polskiego narodu.

W czasie rokowań nad układem polsko-sowieckim jego przeciwnicy wmawiali w nas, że Stany Zjednoczone popierają Polskę w przeciąganiu sporu z Rosją Sowiecką. Przekonałem się w czasie pobytu w Stanach Zjednoczonych, jak lekkomyślne i bezpodstawne było to twierdzenie. Prezydent Roosevelt, Rząd Stanów Zjednoczonych i społeczeństwo amerykańskie darzą Polskę głęboką sympatią i mają zrozumienie dla jej żywotnych interesów. Lecz Stany Zjednoczone nie życzyły sobie wcale przedłużania się konfliktu między Polską i Rosją i to w czasie, kiedy armie rosyjskie krwawiły się w wojnie z wojskami Hitlera. Przeciwnie—a są na to bezsporne dowody—Stany Zjednoczone pragnęły gorąco zakończenia tego sporu. Bo zakończenia sporu polsko-rosyjskiego wymagały wspólne interesy wszystkich narodów walczących z państwami osi. Wymagał tego przede wszystkim interes Polski.

To właśnie, że Rząd Polski, pokonując—przyznaję—bardzo duże trudności, doprowadził do zawarcia układu z Rosją Sowiecką, związało mocno sprawę Polski ze sprawą, o którą walczą wszyscy sprzymierzeńcy, umożliwiło zabezpieczenie naszych interesów w czasie rokowań nad układem angielsko-sowieckim. Mieliśmy bowiem, jako sojusznik za sobą nie tylko Anglię, ale i potężne Stany Zjednoczone, siłę moralnych argumentów i sympatie wszystkich ludów, z którymi prowadzimy wspólną o wspólne ideały walkę.



Dwie niepublikowane fotografie przedstawiające Naczelnego Wodza jako dowódcę Grupy Poleskiej na froncie w roku 1919



Czy Rosja dotrzyma zobowiązań wynikających z układu z nami i czy nie zażąda w odpowiedniej chwili rewizji naszych wschodnich granic?

Na to pytanie nie można odpowiedzieć dowodami.

Wierzę i będę wierzył tak długo, że Rosja dotrzyma zawartego z nami układu, dopóki nie będę miał dowodów, że jest inaczej. Więcej, wydaje mi się, że mniejsze lub większe nieporozumienia w związku z wykonywaniem układu, będą coraz szybciej i sprawniej usuwane. Dotrzymanie bowiem postanowień układu, tak ze strony rosyjskiej, jak i polskiej decydować będzie o dobrym wzajemnym sąsiedzkim współżyciu obu narodów, a to leży w interesie nie tylko Polski i Rosji, lecz i w interesie zabezpieczenia pokoju w Europie i w całym świecie.

Przypuśćmy jednak, że Rosja podejmie próbę naruszenia naszych interesów, czy to przez niewykonywanie postanowień układu lub wysunięcie pretensji do naszych granic. Czy w tym wypadku sytuacja Polski byłaby dogodniejsza, gdyby nie miała układu z Rosją?

Sądzę, że na to pytanie, a wierzę, że jest ono i pozostanie tylko teoretycznym, odpowiedź jest całkowicie jasna. Polska, jako sprzymierzeniec wszystkich narodów walczących z Niemcami, a wśród nich i Rosji nie byłaby w tym wypadku osamotniona; miałaby bowiem po swojej stronie sympatię tych ludów, z którymi wspólnie przelewała krew i ponosiła najcięższe ofiary w obronie zasad wolności narodów i niepodległości ich krajów.

Premier Rządu Gen. Władysław Sikorski określił w sposób lapidarny, ale jakżeż trafnie, istotną wartość polsko-sowieckiego układu dla interesów Polski, gdy oświadczył, że bez porozumienia polsko-sowieckiego nie byłoby możliwe zawarcie paktu angielsko-sowieckiego, w takiej, jak to się stało formie.

JAN STAŃCZYK



ułożył Tadeusz Lipski

"Nie dziwmy się, że po upadku Francji Anglicy nie znając nas wówczas— w ogóle nie chcieli mieć u siebie nie tylko żadnego wojska, ale tymbardziej uchodźców polskich. W. Brytanii wystarczał wtedy tylko symbol Polski, jako państwa alianckiego: a to Prezydent Rzplitej, rząd, rada narodowa i maleńki, liczący może około 20 oficerów, sztab Naczelnego Wodza. Generał Sikorski odrzucił kategorycznie tę propozycję rządu angielskiego i kto chce czy nie chce przyznać musi, że ewakuacja z Francji do W. Brytanii zarówno polskiej siły zbrojnej, jak i emigracji cywilnej, bez względu znowu na to, czy sposób jej przeprowadzenia będzie krytykowany czy też nie, jest jego wyłączną i osobistą zasługą. Mówię to nie dlatego, ażeby się mojemu przełożonemu podobać, bo mi to było zawsze i jest nadal obce, albo dlatego, ażeby w ten sposób przesłonić istniejące jeszcze niewątpliwie braki i niedomagania, ale dlatego, ażeby podkreśliwszy historyczną, we Francji jeszcze podjętą zasługę ciągłości wysiłku zbrojnego Polski także na ziemi brytyjskiej, a dzisiaj szczęśliwie także i w Rosji Sowieckiej, wyraźnie zaznaczyć, że generał Sikorski—podpisując ówczesną umowę wojskową z W. Brytanią spełnił swój obowiązek w całości, tak jak spełnił rok prawie temu, podpisując umowę wojskową Sikorski—Stalin."

"Każdy z nas przeżywał i przeżywa nadal ciężko tragedię naszego narodu i państwa. Pracy naszej towarzyszą ciężkie przeżycia i doświadczenia. Staramy się z nich wyciągnąć wnioski na dziś i na jutro. Widzimy zło i ludzi, aktorów tego zła, wobec których, ze względu na warunki i obcy teren zanadto może jesteśmy tolerancyjni. O ileż zatym w gorszym często położeniu znajdują się doły żołnierskie, może nieraz głębiej odczuwający tragedię narodu, gdyż, będąc w szeregach armii, z natury rzeczy muszą być tylko ręką zbrojną narodu i nie mają i nie mogą mieć prawa reakcji w stosunku do tego co ich również boli i niepokoi. Oczyśćmy atmosferę, w której toczy się i trwa bój narodu i żołnierza. I dlatego też pozwalam sobie zwrócić się do Panów o pomoc w tej pracy dla armii.

W końcu pragnę stwierdzić, że na szczęście, pomimo tragicznych przejść żołnierza polskiego, szeregi naszych Polskich Sił Zbrojnych są odporne na wszelkie próby czy dywersje na ich drodze wytkniętej czynem i tęsknotą ku Polsce.

Rdzeń i lwia ich część jest zdrowa, przyświeca im bowiem tylko gorąca i niezachwiana walka o powrót do szczęśliwej i wolnej Polski."

Z przemówienia gen. Izydora Modelskiego na posiedzeniu Rady Narodowej.

Artyści-żołnierze na wystawie w Londynie

Zorganizowaną przed rokiem w Edynburgu, Glasgowie i innych miastach Szkocji wystawę artystów narodów sprzymierzonych przeniesiono obecnie do Londynu. *British Council*, urządzający te wystawy, wydał nowy katalog, nowymi ozdobiony reprodukcjami, ponadto niektórzy artyści mają prac więcej /inni mniej/—ale charakter pokazu pozostał ten sam. Tak więc Polacy występują wśród Belgów, Jugosłowian czy Norwegów, Holendrzy i Czesi poprzedzielani są "wolnymi" Francuzami lub Chińczykami a rzeźby wszelakiej narodowości zgodnie stoją obok siebie na środku dużej sali. Tym sposobem *British Council* podkreśla równorzędność i braterstwo artystyczne narodów sprzymierzonych.

Natykamy się więc co parę kroków na polskie obrazy i rysunki, których jest sporo, bo 76 na ogólną liczbę 230. Podczas jednak gdy artyści innych narodowości to prawie wyłącznie "cywile," wśród Polaków przeważają artyści służący w wojsku. Należało by się więc może spodziewać, że tematami ich prac będzie wojsko i wojna. Jest jednak inaczej. Polscy artyści-żołnierze malują portrety, pejzaże, sceny rodzajowe i martwe natury, a czasem kompozycje zrodzone z wyobraźni i myśli o kraju, podtrzymując tym samym tradycje ostatnich dwudziestu lat naszego malarstwa.

Przypomnieć wypada, że w ciągu tych dwudziestu ostatnich lat sztuka nasza przeszła przemianę bardzo doniosłą. Znikły bowiem doszczętnie z płócien naszych malarzy polowania z nagonką, wilki wyjące po nocy, utarczki z kozakami i sentymentalny "lud" w upiększonym "salonowo" pejzażu. W miejsce prowincjonalnego zamknięcia się w "ulubionych" tematach "rodzimych," artyści nasi dali unieść się fali, która, idąc z Francji, rozlała się po całym kontynencie i uprawiali sztukę nieopisową i nieliteracką, sztukę, w której cały nacisk położony jest na to *jak* przedstawiona jest natura, a nie *co* jest malarstwem pokazane. Powrócono więc do malowania jabłek rozłożonych na serwecie i do podobizny człowieka przedstawionego bez pozy i bez patosu, jednym słowem do prostego i szczerego spowiadania się z wzruszeń, jakich doznajemy na widok świata kształtów i kolorów nas otaczających. W wyścigu różnych narodów do odnalezienia prostoty i prawdy widzenia i wypowiadania się, artyści polscy, przed wybuchem tej wojny, zajmowali miejsce pokaźne. Dość wspomnieć, że n.p. w Paryżu, malarze polscy ustępowali znaczeniem i odkrywczością jedynie tylko Francuzom.

Nie zmarnowaliśmy więc w sztuce, 20-tu lat niepodległości. Ale potem przyszedł wrzesień 1939. Że w kraju malarze i rzeźbiarze pracować nie są w stanie, przyjąć, niestety, należy z całkowitą pewnością. Dochodzą nas tutaj raz po raz wieści czy to o śmierci któregoś z naszych artystów lub też o tym, że ten czy ów kolega pracuje jako robotnik w fabryce lub jako fornal gdzieś na dworskim. Grozi nam więc zagłada dorobku ćwierćwiecza—także i w tej dziedzinie. A wszak łatwiej będzie odbudować zburzone fabryki i posprawiać nowe maszyny, niż nawiązać przerwaną nić twórczego wysiłku i przywrócić do życia młode drzewo sztuki, okaleczone i przydeptane butem najeźdźcy.

Poza krajem w chwili wybuchu wojny, przebywało tylko niewielu artystów. Garstkę zaledwie przerzuciły wypadki późniejsze do Francji, a potem Anglii czy Ameryki. Są to przeważnie artyści już posunięci w rozwoju, dla których przerwa w pracy, nawet paroletnia, nie miałaby zresztą może katastrofalnych następstw na później. Ale jest legion młodszych, niedość jeszcze zżytych z rzemiosłem, a dla nich oderwanie od pracy, brak ciągłości, kontaktów i możliwości kontroli n.p. przez wystawy, może oznaczać zagubienie się i zgaśnięcie raz na zawsze tej iskry, bez której nie można uprawiać sztuki.

Ci młodsi właśnie są przeważnie w wojsku. I oto na wystawie "aliantów" spotykamy się z ich pracami: obrazami olejnymi, akwarelami, grafiką, rysunkami i paru dziełami rzeźbiarskimi. Nie będę pisał tu o nikim z osobna, bo nikogo ani pominąć, ani wysiłku jego nie docenić nie wolno. W tych pracach wykonanych w ciągu kilkutygodniowego często tylko urlopu z wojska, tyle jest bowiem objawów zapału i tyle powagi, że wydaje się czasami, że ci żołnierze-artyści zdają sobie jak gdyby sprawę z osobliwego, ciążącego na nich obowiązku; z obowiązku pracy takiej, abyśmy kiedyś, kiedy wrócimy, mogli bez szczególnych trudności nawiązać do wysiłków przerwanych dramatem wojny.

* * *

Często się słyszy lub czyta, że w sztuce odzwierciedla się temperament narodu. Niewątpliwie w hałaśliwej i patetycznej mocy muzyki wagnerowskiej, jako też i w fałszywej, teatralnej czułostkowości Boecklina, odnajdujemy, w zgęszczonej postaci, naczelne cechy duszy niemieckiej. Ale Wagner i Boecklin są nie tylko duszy tej objawieniem. Puzony wagnerowskich uwertur grzmiały nad niemiecką kolebką tego właśnie pokolenia, które dwa razy w ciągu ćwierćwiecza wybrało się na podbój świata.

Doszukując się w sztuce wizerunku narodowych cech, nie doceniamy może wychowawczego jej znaczenia i nie spostrzegamy, jak doniosły jest udział muzyki, malarstwa i literatury w urabianiu ludzkiej natury.

Literatura romantyczna, Matejko i Grottger, a potem nowy romantyzm Wyspiańskiego i Żeromskiego i nieokiełzany wigor polskiego impresjonizmu, są niewątpliwie odbiciem polskiego "szaleńczego" temperamentu. Ale to nie wszystko. Wiersze i powieści, dramaty i obrazy artystów stały się bowiem elementarzami, na których dzisiaj żyjące i walczące pokolenie uczyło się wiary w wydarzenia nieprawdopodobne, szydzenia z doświadczanej rzeczywistości, namiętności do poświęceń i pogardy dla rozumnych kalkulacji. Z pokolenia na pokolenie odradzający się mistycyzm polski pozostał do dziś dnia głównym czynnikiem naszego życia duchowego i podstawą naszych postanowień i postępków.

Nie ma chyba na świecie drugiego narodu, którego życie jednostkowe i zbiorowe, zarówno odruchy jak świadome postanowienia, były by w tak silnym stopniu pod dyktaturą sztuki, jak życie Polaków i losy Polski. Dlatego może oblicze i charakter sztuki ma dla całokształtu życia naszego donioślejsze, niż dla innych narodów znaczenie.

U narodów zasobnych, rozporządzających liczną stosunkowo klasą ludzi, którzy mają czas na czytanie, zbieranie dzieł sztuki czy też zwiedzanie obficie zaopatrzonych muzeów, sztuka przyczynia się "do łagodzenia obyczajów," do bogacenia wewnętrznego życia jednostek, do rozbudzania zadumy nad widowiskiem, zwanym życiem i światem. U nas na taką rolę sztuki nie było miejsca przez półtora wieku. Mieliśmy co prawda Gierymskich i Kotsisa, Rodakowskiego i Ślewińskiego, Podkowińskiego i Pankiewicza, ale ilu było w Polsce ludzi, którzy znali i cenili ich płótna?

Dopiero dziś, z oddalenia czasu, spostrzegamy się, że literatura romantyczna i malarstwo historyczno-patriotyczne, a potem opisowe, to była sztuka narodu niewolnego; że nad tą sztuką, jak nad krajem, ciążyła zmora niewoli.

Dwudziestolecie odzyskanej niepodległości stworzyło dopiero podłoże dla upowszechnienia się sztuki niewprzągniętej w służbę żadnej idei, a służącej tylko potrzebom jednostki, jej wewnętrznego życia. Sztuka tego gatunku, pozostająca poza marginesem życia zbiorowego, weszła w ciągu lat ostatnich na piedestał popularności i powszechnego zainteresowania. Stała się łącznikiem między nami i kulturą innych narodów, znakiem ponownego wejścia naszego w rodzinę wolnych narodów, żyjących normalnym życiem państwowym i kulturalnym.

Dlatego tak ważne jest, aby sztuki naszej takiej, jaka była w chwili wybuchu tej wojny, nie zagubić. Ważne jest, ażebyśmy wyszli z tej wojny nie tylko wolni politycznie i państwowo, ale także, ażebyśmy zachowali pośrodku burzy wojennej i donieśli do kraju dusze ludzi wolnych; ażebyśmy nie zawracali do przeszłości porozbiorowej i nie popadli w panikę duchową.

* * *

W "ulicy londyńskiej" kładzie Zdzisław Ruszkowski plamę kolorową przy plamie, bardzo wrażliwie i w rozległej gamie. Nie szuka ani "syntezy" ani "wyrazu." Ten wysokogatunkowy umiar, skromność założeń i nieobnażanie swego zapału wobec natury—to znamiona wewnętrznej ciszy, i równowagi, znamiona godnej i poważnej postawy artysty wobec dnia dzisiejszego i wypadków, które przewalają się przez nas i dokoła nas.

Obraz Ruszkowskiego, choć może w tym względzie najwyraźniejszy, sąsiaduje tu z niejednym w charakterze pokrewnym dziełem. Studia portretowe Adama Turyna, skromne i wstrzemięźliwe w użyciu koloru i w wyrazie, nie zwrócą może na siebie uwagi przy pobieżnym spacerze po salach wystawowych. Jest to niemałą ich zaletą. Świadczy to, że pozbawione są do cna wszelakiego efekciarstwa czyli, mówiąc popularnie, artystycznej blagi i że są drogą do poważnych osiągnięć.

"Martwa natura" Witolda Marsa dowodzi raz jeszcze o postępie, na który miałem niedawno sposobność zwrócić uwagę, pisząc o "Forces Exhibition." Niewielu nowymi pracami reprezentowani są Józef Natanson, Zygmunt Haupt i Aleksander Żyw. Sporo wartości zawierają i inne prace polskich wojskowych. A więc: śmiałe i pełne temperamentu eksponaty Jerzego Faczyńskiego, prace olejne Stefana Kątskiego i Mariana Gleb-Kratochwila, jak również pokaźna ilość zajmującej grafiki i akwarel, których autorami są: Ewaryst Jakubowski, I. A. A. Paprotny, Oktawian Jastrzembski, Jan Sterling, Antoni Wasilewski Aleksander Teslar, Stanisław Kowalczewski, Włodzimierz Klocek i Andrzej Wart.

W przeciwieństwie do malarstwa i grafiki, rzeźby, zwłaszcza polskie, dadzą się zliczyć na palcach jednej ręki. Wśród nich nie "zwraca powszechnej uwagi"—bardzo niefortunnie umieszczona—głowa wymodelowana przez Tadeusza Kopera. Wyniki do jakich doszedł w ciągu paru miesięcy tutaj w Londynie ten młody rzeźbiarz, tłomaczą się nie tylko tym, że Koper przyszedł na świat z poczuciem formy rzeźbiarskiej. Wystawiona obecnie głowa to nie tylko świadectwo talentu. Do osiągnięć takich dochodzi się w sztuce tylko wówczas, kiedy, na skutek usilnej i nieustannej pracy, opanowywać zaczyna człowieka znużenie fizyczne i kiedy, w tym stanie, napiętymi i wyczulonymi nerwami odkrywa się cudo kształtu, niespotykanego nigdzie w naturze, a prawdziwszego i konkretniejszego od dotykalnej rzeczywistości.

HENRYK GOTLIB

List z Edynburga

O czym tu pisać na edynburskim bruku? Chyba o Polskiej Wystawie Fotograficznej, która pod dźwięcznym tytułem "*Through Polish Eyes*" najpierw zagospodarowała się w salach *National Gallery of Scotland*, potem pojechała do Bradford.

Wchodziliśmy tam z lekkim drżeniem serca. Choć gazety miejscowe zamieściły o wystawie pochlebne sprawozdania, choć nawet nasi—o dziwo, też ją sobie chwalą, nie opuszcza nas obawa, czy aby istotnie stoi ona na odpowiednim poziomie i czy nie przyniesie nam wstydu w kraju, gdzie sztuka fotograficzna stoi wysoko.

Pierwszy rzut oka na amfiladę sal z rozwieszonymi na ciemnych ścianach dużymi, jednakowego kształtu, jasnymi kartonami fotografii, napawa nas nadzieją, że tak źle nie jest. Wrażenie jest dobre i potęguje się w miarę oglądania eksponatów.

Pierwsza sala poświęcona jest Polsce. Wita nas Orzeł wojskowy i herb Warszawy, rozpięte srebrnym sznurem na malinowej ścianie. Wazon białych i czerwonych róż dyskretnie mówi zwiedzającym o narodowych barwach wystawców. Wielkie plansze fotograficzne Ministerstwa Informacji ukazują najładniejsze polskie zakątki, a sekunduje im kilkadziesiąt zdjęć amatorskich, ocalonych z Polski. Krzyż Virtuti Militari oraz globus Kopernika i fortepian Szopena, uzupełniają salę, która stwarza poważny, artystyczny nastrój.

W dalszych salach, udekorowanych ze smakiem przez naszych malarzy i architektów, rozwieszono fotografie wykonane w okresie, kiedy wędrowaliśmy z Polski poprzez Rumunię i Grecję, Jugosławię i Italię do Francji, a potem —przez Hiszpanię i Portugalię lub Północną Afrykę—do Wielkiej Brytanii. Aż dziw bierze, iż potrafiliśmy się zdobyć w tych tragicznych czasach na podpatrywanie i chwytanie na błonę fotograficzną już to ciekawych, już to pięknych widoków krain, przebieganych w pośpiechu i ze ściśniętym sercem.

Ta nasza pasja rejestrowania wrażeń wzrokowych przejawia się w całej pełni, gdy oglądamy zdjęcia, wykonane na Wyspach Brytyjskich. Gdzież ci Polacy nie wsadzili ciekawego nosa, czegoż u nas nie wyszperali—zapytuje się niejeden zdumiony Brytyjczyk. I niejeden dopiero teraz uzmysławia sobie, iż miejsce macierzyste, które oglądał i zna od dzieciństwa, posiada niezaprzeczone walory piękna.

Ostatnia sala poświęcona jest wojsku. Oglądamy dzień powszedni naszych żołnierzy, gdy gimnastykują się, obierają kartofle, grzeją ręce nad ogniskiem, lub pomagają przy żniwach. Widzimy ich w polu, na ćwiczeniach, pieszo i konno, w wozach pancernych i samolotach, na piaskach libijskich i śniegach Rosji, tych, których unoszą spadochrony i tych, których kołysze morze. Wszystkie bronie, wszystkie służby, wszystkie miejsca, gdzie rozbrzmiewa szczęk oręża w polskiej dłoni są tutaj reprezentowane.

Choć nie! Omyłka! Brak tych z Ameryki i tych z Filipin, z Australii i Indii. Z tych wszystkich miejsc, gdzie walczą Polacy, a które wyliczyć będzie można chyba dopiero po zwycięskiej wojnie. Gdy mowić nam o nich będą drewniane krzyże. A przede wszystkim nie ma tych najważniejszych—z Polski!

A teraz troszkę na wesoło. Jakież to potężne moce powołały do życia tę wystawę? W jaki sposób powstał zbiór 450 plansz fotograficznych, które tak zainteresowały Brytyjczyków zwiedzających wystawę?

Powstał po prostu z niczego. Ot, komuś tam przyszła kiedyś wariacka myśl do głowy, aby: 1/ I Korpus stworzył ramy organizacyjne polskiej wystawy fotograficznej, 2/ nasi fotografowie-amatorzy wypożyczyli swe negatywy, 3/ prasa pomogła do wyskubania ich jak fiołków z trawy, 4/ *The British Council* sfinansował imprezę, 5/ *The Edinburgh Photographic Society* użyczył swego laboratorium a członkowie jego—wykonali bezinteresownie stokilkadziesiąt powiększeń, aby 6/ Dyrektor *National Gallery of Scotland* oddał swą galerię i aby wreszcie 7/ Fundusz Kultury Narodowej i Ministerstwo Informacji i Dokumentacji ufundowali nagrody dla autorów najlepszych fotografii.

No, i udało się wszystko! Mechanizm pracował bez zarzutu. Mało tego, znalazł się i taki, co zaryzykował pieniądze na ilustrowany katalog, ktoś inny narysował plakat, jeszcze inny powielił go, poroznosił po całym mieście... W gazetach napisano sprawozdania a publiczność przyszła oglądać wystawę, która otwarta została cicho, broń Boże bez hałasu i pompy. Ot, po prostu przyszedł pierwszy zwiedzający i zapłacił szylinga za katalog /5 d. na pokrycie własnych kosztów, a 7 d. na cel dobroczynny/. Prawda, jakie to wszystko proste? Zupełnie, jak w bajce!

A może Państwo ciekawi są zajrzeć za kulisy? Ano, prosimy bardzo. Zdradzimy przede wszystkim, że wystawa powstawała i sunie dalej pod znakiem kapitanów.

Kapitan, Komisarz wystawy, jako rasowy malarz, do fotografii nie miał wiele zaufania. Darzył nim jedynie inicjatora, ale i to raczej w stopniu odmierzonym dyplomatycznie w myśl zasad swej paryskiej służby.

Jeden z kapitanów był jakiś czas laborantem. Pracował, dopóki mu kiedyś wieczorem nie zmarzł wywoływacz w laboratorium. Wtedy stracił serce. Kapitan, nie wywoływacz. Sklął wystawę, a szczególnie jej organizatorów.

Podobno inicjator poprzysiągł sobie, że projekt następnej wystawy fotograficznej wysunie zimą. Przynajmniej będzie się ją realizowało w czasie, bardziej nadającym się do pracy w nieopalanej ciemni. Chyba, że będzie to w odbudowanej Polsce. Boże Wielki! No, nie roztkliwiajmy się!

Snujmy dalej nić niedyskrecji. Na czym to urwaliśmy? Aha, na wywoływaczu. Otóż wywoływacz ten też coś stracił, gdy zmarzł. Stracił swoją moc. Wywoływał blado i długo. Ale przecież są to drobiazgi. Podgrzewało go się potym dokładnie. Na elektrycznej maszynce. Wtedy czasem był znowu za gorący. Ale o tym już naprawde pisać nie warto.

Na Olimpie sprawami wystawy opiekował się podobno również kapitan. Kapitanowie byli wystawcami. Co prawda wystawcy przedstawiali istną mozaikę szarż i barw. Od strzelca i ułana począwszy, poprzez podchorążych—do majorów i podpułkowników. Były też i szarże cywilne, ale zawszę—szarże.

PAWEŁ MILLER

fot. Paweł Miller



Z kampanii wrześniowej

I Batalion Morski Strzelców

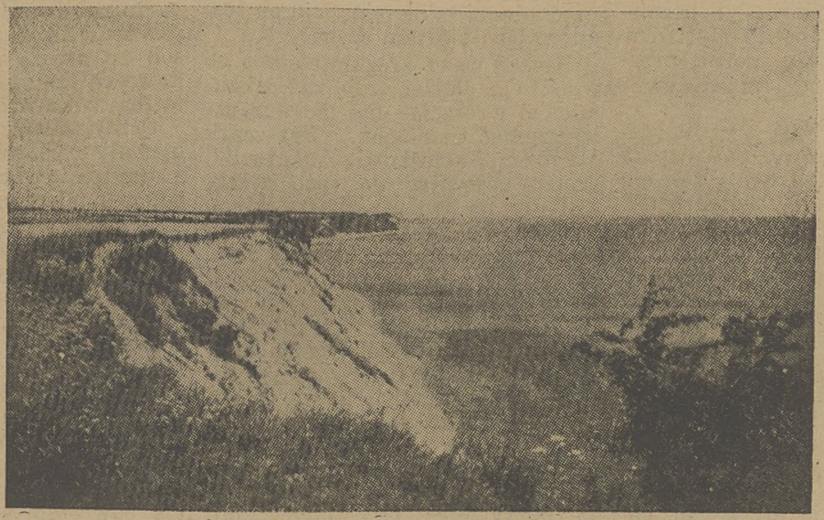
II.*

W środku Redy stał kościół ze strzelistą wieżą. Na tej wieży umiejscowił się ckm 1 P.M.S. Było to zresztą jedyne skuteczne stanowisko. Załoga ckm'u zmieniała pozycję po każdej serii, przenosząc się z góry na dół i z powrotem na górę . . . Każda seria śmiertelna dla npla. Po każdej serii z kościoła następowała riposta z kilku czy też kilkunastu ckm. Przez cały czas towarzyszył temu pojedynkowi grad pocisków artylerii sypiący się na kościół. Przez cały czas jednak padł jeden tylko trafny pocisk w prezbiterium i to niewypał.

Wieczór dodawał dzikości obrazowi walki. W świetle palących się domów, przesuwały się szybko sylwetki żołnierzy, wielu z nich rannych. Ze wzgórz płynęły fale pocisków zapalających, przekreślając ciemne niebo ognisto-czerwonymi kreskami. Ryk pocisków mieszał się z rykiem przerażonego bydła z pobliskich łąk. Dowódca pułku, który przeszedł wojnę 1914-1918 twierdził, że nigdy w podobnym piekle nie był. Łączności na przestrzeni kilkuset metrów utrzymać nie sposób. Wysyłani gońcy nie wracali.

O świcie pułk zaczął odrywać się grupkami, w kierunku na Kępę Oksywską. Droga utrudniona licznymi błotami, głębokimi rowami. Początkowo uważane za niewykonalne zadanie pułk wypełnił do końca. Osłona udała się. Wycofujący się żołnierze widzieli za sobą, gorące dymiące zgliszcza Redy i dalej na północ dopalające się Ciechocino. Niemcy jak zwykle oszczędzali się, nie wykorzystując możliwości pościgu. Przeceniali siły obrony do końca walk a nawet po ich zakończeniu dopytywali się o resztę żołnierzy i ukrytą jakoby broń.

W stronę marszu biegły myśli żołnierzy; Kępa Oksywska to przecież nad morzem a morze to cel obrony. Może wreszcie tutaj będą prawdziwe umocnienia. Niestety płytki rów strzelecki i pojedyńczo rozciągnięty drut kolczasty na skraju lasu, szybko rozwiały marzenia i przywróciły zmęczone głowy do przykrej rzeczywistości. Na Kępie pułk zaczął się zbierać. Żołnierze wyczerpani do ostatecznych granic, nie dopominali się nawet o jedzenie, którego nie mieli od 24 godzin. Każdy kładł się, gdzie mógł i usypiał natychmiast. Kilku przespało się na mrowisku, po przebudzeniu się byli zdziwieni inwazją dokuczliwych insektów. Tabory. które przedzierały się szosą, poniosły znaczne straty. Pod wieczór kuchnie podwiozły obiad. Rozstawione w lesie zaczęły wydawać strawę. W chwilę potem artyleria nieprzyjacielska rozproszyła wszystko. Trzy celnę strzały w ustawione w głębi lasu kuchnie szybko zakończyły marzenia o gorącej strawie.



Kępa Oksywska

Kępa Oksywska leży na północ Gdyni, a właściwie przez Oksywie styka się z nią. Z północy i wschodu otoczona jest moczarami, które noszą nazwę: Mostowe Błoto, z zachodu oblewa ją zatoka Pucka. Południowy cypel Kępy to Oksywie, z portem Marynarki Wojennej, koszarami, ślicznym kościółkiem na wysokim wybrzeżu. Kościółek ten jest otoczony najładniejszym chyba cmentarzykiem w Polsce. Stare groby cmentarne spokojnie spoglądają na odległy półwysep helski, który w dobrą pogodę wyraźnie wycina się z błękitu morza. Szum morza i słony, rześki wiatr dopełniają romantycznej całości. Wschodni i wschodnio-południowy kraniec Kępy, wystającej ponad otaczające błota, jest osłonięty lasem.

Kępa Oksywska, ta naturalna twierdza, jest połączona trzema szosami. Jedna wpada z północy do Pucka przez Mrzezino, przechodzi przez Pierwoszynę, Kosakowo, Pogórze i wypada z Kępy na Chylonię. Druga, a właściwie trzecia —to ulica idąca z portu gdyńskiego wzdłuż portu drzewnego "Paged" na Oksywie. Umocnienie więc tego idealnego miejsca do obrony było bardzo łatwe. Niestety—skończyło się na dobrych planach i wydatkach komisji, która specjalnie przyjeżdżała z Warszawy.

Kępa Oksywska, znana była przed wojną mieszkańcom Gdyni z dobrego mleka i owoców przywożonych z Kosakowa, no i jesiennych polowań. Żeglarze znali również Babi Dół, gdzie przybić można było jachtem do drewnianego molo. Nikt jednak nie przypuszczał, że ten ładny odcinek naszego krótkiego wybrzeża stanie się sławną redutą, że wszystkie dworki, Suchy, Pierwoszyńskie Pustki, Stefanowo, miejscowości: Kazimierz, Dębogórze, Mechelinki, Pierwoszyno, Kosakowo, Babi Dół, Pogórze, Obłuże, Oksywie—staną się symbolami bohaterstwa garstki szaleńczych obrońców, którzy o każdą piędź wolnej jeszcze ziemi walczyli wręcz, nieuzbrojeni, głodni, bez snu—z najeźdźcą wypasionym, zakutym w żelazo, nacierającym z trzech wymiarów.

Westerplatte i Kępa Oksywska, odległe od siebie o kilkanaście kilometrów, przedzielone wrogą granicą gdańską, lecz jak bliskie sobie wielkością ducha, zaciętością i najwyższej klasy honorem. Obydwie zryte bombami, pociskami artyleryjskimi—jak zorana rola przyjęły na siebie siew młodej polskiej krwi. Taki siew na tej roli musi dać obfity plon.

Na Kępie Oksywskiej pułk powrócił do swojego pokojowego stanu liczebnego. Rozbite kompanie należało powcielać jedne w drugie. Rzeczywiste natarcie niemieckie na Kępę Oksywską rozpoczęło się dnia 12 września. Od rana samoloty bombardowały pozycje artylerii, magazyny amunicyjne i żywnościowe, wreszcie stanowiska strzeleckie. Artyleria grała bez przerwy. Okres ten od 12 do 19 września był już właściwie nie samodzielną walką 1 P.M.S., lecz wspólną obroną wszystkich znajdujących się na całej Kępie. Resztki baonów morskich, resztki batalionów marynarzy, resztki batalionów Obrony Narodowej, ochotnicy nieuzbrojeni, ochotnicy z kosami, ochotnicy z bronią wszelkiego autoramentu i wieku, oddziały policji. Żony pomagały mężom w walce w okopach.

Początkowy nacisk z kierunku Rumii, Redy i wzdłuż wybrzeża z Rewy uzupełniał się i z kierunku Gdyni a ostatecznie i morza. Nieprzyjacielskie działa ustawione na działkach leśnych w Gdyni, na Kamiennej Górze, w Rumii, za Redą zasypywały gradem cały teren broniony. Ckm-y dachów magazynów portowych grzechotały bez przerwy. Każda miejscowość, każdy lasek, każde wzgórze, przechodziły z rąk do rąk po kilka razy dziennie. Żywności brak, magazyny popalone, amunicji coraz mniej.

Natarcie i przeciwnatarcie dzień i noc, noc i dzień bez przerwy. Na każdą baterię art. po kilka nalotów dziennie. Osiem samolotów równocześnie rzucało kilkadziesiąt bomb, poczem wracało dla uzupełnienia ładunku i dokonania następnego nalotu. Samoloty współdziałające z artylerią, bezczelnie latały przez cały dzień, wskazując cele.

Szpitale przepełnione rannymi, lekarze operujący bez przerwy po 24 godziny, przy świecach. Szpital w Babim Dole jednego dnia tylko, bodajże 14 września, otrzymał transport 600 rannych. Wody do mycia rannych brak, jedzenia nie ma. Niemcy zasypywali każdego dnia tereny walk ulotkami, zrzucanymi z samolotów: "Żołnierze polscy, bohaterska obrona wasza jest bezużyteczna, nie wierzcie waszym oficerom, którzy was okłamują. Poddawajcie się przez wywieszanie białych chusteczek, będziecie traktowani na równi z żołnierzami niemieckimi." Atakujący Niemcy posuwali się do podstępów, idąc z białą chorągwią, w pewnym momencie otwierali morderczy ogień. Kawał dobry na raz. Przepełnione szpitale, bombardowane bez przerwy, powiększały ilość zabitych z pośród lekko rannych. Niezmieniane opatrunki gniły rany. Liczba obrońców malała z godziny na godzinę.

Pewnego dnia, bodajże 15 września, nieprzyjaciel umilkł na kilka godzin. Spokój ten denerwował jeszcze bardziej przywykłe do bezustannego huku nerwy. Cisza przed burzą, zamieniła się w rzeczywisty huragan. Wkrąg sypały się pociski. Loteria polegała na tym: trafi czy też nie, chować się nie było gdzie ani po co, każdy metr równie niebezpieczny.

Walcząc w takich warunkach nikt nie myślał o kapitulacji, punktem honoru było przetrzymać dwutygodniowy termin dany przez Hitlera na zakończenie wojny. Ale nawet minięcie tego terminu nie osłabiło oporu obrońców.

Tak przyszedł krytyczny dzień 19 września. Od samego rana ogień artylerii lądowej, morskiej, z ośmiu jednostek marynarki, bomby lotnicze oraz ckm-y zasypywały mały teren Babiego Dołu i Oksywia. Desanty z morza odpierane raz po raz. Koło południa sytuacja była już ostatecznie bez wyjścia, lecz nawet wtenczas o kapitulacji nikt nie wspomniał. Słowo to nie istniało dla garstki obrońców wybrzeża.

Żelazny krąg przeważających sił nieprzyjaciela zacieśniał się. Teraz już nawet działka przeciwpancerne bezczelnie podsuwały się na najkrótszy dystans. Dowódca obrony, dość zresztą silnie krytykowany przez kolegów, zginął z honorem, walcząc do ostatka przy ckmie, odbierając sobie życie w ostatniej chwili. Około godz. 16-ej padły ostatnie strzały.

Tak się zakończyła epopea udziału 1 Pułku Morskiego Strzelców w kampanii wrześniowej. Pułk zrosił nowy sztandar hojnie krwią żołnierzy. Dumny baon, chluba wybrzeża nie zawiódł pokładanych w nim nadziei. Oficerowie, podoficerowie i strzelcy ginęli z honorem. Jeden z oficerów rezerwy, ciężko ranny, z urwanymi obiema nogami, umierał na stanowisku w okopach z nieludzkim spokojem. Jedyną ostatnią prośbą jego była pieśń "Pod Twoją Obronę" śpiewana przez towarzyszy. Drugi młody porucznik zawodowy w jednym szturmie ranny w głowę, odmówił udania się do szpitala. Z nałożonym prowizorycznie opatrunkiem poprowadził swój oddział do powtórnego natarcia. Druga celna kula w głowę położyła kres życiu tego dowódcy. Sierżant, podoficer żywnościowy, zginął na kuchni polowej od upływu krwi z urwanej nogi. Strzelcy walczyli do ostatka ginąc jak przystało strzelcom batalionu wejherowskiego. Na groby ich rozsypane po całym wybrzeżu nie mogą przyjść najbliżsi. Inni w niewoli cierpią głód i upokorzenie.

Ta młoda jednostka naszej siły zbrojnej zapisała swoją krótką piekną historię krwią. Uznania jej bohaterstwa nie mógł odmówić nawet Hitler, który oddał cześć obrońcom Oksywia. Krótka tradycja Marynarki Wojennej chlubi się nie tylko czynami na morzu. Jej piechota okryła się niemniejszą chwałą.

Młodzież wolnej Polski będzie sobie poczytywała za zaszczyt służyć w 1 Pułku Morskim Strzelców.

JANUSZ WITEK

* Por. nr. 24 "Polski Walczącej" z b.r.

ZJAZD WETERANÓW

A gdy pokoju dziesięć lat przeleci,
W Królewcu, albo innym z naszych miast,
W roku dziewięćset pięćdziesiątym trzecim,
Zrobimy wielki weteranów zjazd.

Będą bezpłatne bilety w "Orbisie"
I turystycznych pociągów ze sto,
A gdy koleją tłuc nie zechce ci się,
To—proszę—fruwaj awionetką swą.

Będzie napewno przegląd, defilada,
Wręczenie odznak, przecinanie wstąg,
Będzie "niech żyje" na licznych paradach,
Podpisywanie pamiątkowych ksiąg.

I na trybunę wyjdzie pan minister,
I pod trybuną będzie wzdychał tłum,
Bo przemówienie będzie uroczyste
O "kości z kości" i o "dumie dum."

A ja po cichu ominę tę bujdę.
Po co mam wzdychać? Wolę wypić, zjeść.
Więc na żołnierski obiad sobie pójdę,
Bo tam dopiero będzie zjazdu treść.

Pójdź ze mną, bracie, to jedyny sposób
Jeśli znajomą chcesz zobaczyć twarz.
Czterysta stołów, każdy na sto osób,
A przy tych stołach—kogo chcesz, to masz.

Widzisz tam, na wprost, te zacięte twarze?
To ci, co dla nas uchronili Kraj:

Podziemne wojsko, bojowcy, drukarze . . .
Dajże im Boże zdrowie, szczęście, daj!

Przy drugim stole zasianym chabrami
Pieśń huczy mocna—jak zwycięstwa krzyk.
Lotnicy bawią się z marynarzami,
Orły i wilki piją. Sto lat—cyk!

A tam na prawo z Francji grenadierzy
I strzelcy piesi ze szwajcarskich gór.
Bretońskie wino im się dziś należy!
"Madelon" śpiewa, jak w tym czerwcu, chór . . .

Hejże, u licha! Skąd tu tyle wrzawy,
Cóż to za bractwo robi taki szum?
Nasi górale norwescy z Warszawy
Piją pod Narwik znów polarny rum.

A naprzeciwko ci z potwornej bajki,
Głaszcząc broń polską, gładząc polski strój,
Fifają sobie na krasne fufajki,
Na koszmar wspomnień leją "czystej" zdrój.

I do sąsiednich przypijają stołów,
Gdzie "stalagowców" rozśpiewany rój,
Niewoli wspomnień z serc zrzuciwszy ołów,
Weselem kipi, wolny—Boże, mój!

A tam? Dlaczego ten stół tak mizerny?
Nie widać "czystej," rumu ani win . . .

Któż te skromniaczki? To Korpus Pancerny,
Szkocka biesiada: czips, poridż i dżin.

Niesamowity rejwach z lewej strony.
To Palestyna /tam też byliśmy/.
A obok Egipt ciemno opalony,
Ramzesy z Karpat, tobruczańskie lwy.

A dalej, dalej . . . bez końca—o rany!
Druga półkula tu swe miejsce ma.
Kanada, Peru, Brazylia i Stany.
Tango śpiewają. Argentyna gra.

Patrz, oto wszystkie już się łączą stoły,
Orkiestra hucznie poloneza rżnie.
W braterskim kręgu mocny jak żywioły
Płynie przyjaźni śpiew: "kochajmy się!".

Teraz nareszcie wyściskam się z wiarą.
—Antoś, ty żyjesz? Józku—i ty zdrów?
—Stefan, cholera, daj pyska ofiaro!
Z całego świata wiara w domu znów.

Wszystko, co dziać się będzie w tej godzinie
Pięknie opisze i sfilmuje P.A.T.
/Niech i twój dzieciak ma uciechę w kinie/.
Kiedy? Wiadomo już, za dziesięć lat,

Tymczasem, rychło już, o bliskiej dacie,
Jak czytać można ze sztabowych gwiazd,
Będzie okazja, byś na froncie, bracie,
Zdobyć mógł bilet na ten piękny zjazd.

ADAM KOWALSKI

Pryszczyk wieje po raz drugi

Pryszczyka spotkałem w obozie w Targu-Jiu zaraz w pierwszych dniach mojego tam pobytu. Rzucił mi się na szyję w obecności rumuńskiego sztabu, uścisnął mnie, aż mi dech zaparło i rozbeczał się ze wzruszenia. Potem, zignorowawszy Rumunów, zaciągnął mnie do swojego baraku, gdzie miał pryczę w kącie "na piętrze." Palił moje papierosy jeden po drugim, częstował nimi brać żołnierską dokoła i opowiadał.

Złapali go. No—cóż?—Złapali . . . Ale nie żadne Rumuny, tylko "tajniak" niemiecki. A wszystko przez naszą Ambasadę . . . Gdyby sam podróżował dalej, pewnie byłby teraz we Francji i może kierowałby samochodem samego generała Sikorskiego.

Łypał na mnie spode łba, czy się nie ujmę za Ambasadą i czy nie wydaje mi się zbyt nieprawdopodobny ów przypuszczalny przydział do generała. Ja zaś bawiłem się doskonale i ani mi w głowie było podawać w wątpliwość jego słowa, choć, nawiasem mówiąc—jak to z całej opowieści wynikało—Pryszczyka zgubiła nie tyle polska Ambasada, ile jego wrodzona szarmanteria dla dam.

W Constanzy pełno było policjantów i żandarmów, ale Pryszczyk nic sobie z nich nie robił, bo wiedział doskonale, że są przez naszych opłacani. Natomiast niepokoili go niemieccy szpicle, których nie umiał odróżnić od innych cywilów. "Pan Ambasador" z konsulatu w Constanzy pouczał wszystkich, żeby nie gadali po polsku, póki nie odpłyną. Więc Pryszczyk zacisnął szczęki i postanowił ani pary z gęby nie puścić. Stali na tym dworcu może z godzinę i nudno było okropnie. Aż tu nagle jakiś statek przypłynął i zaczęli wysiadać pasażerowie. No i trzeba nieszczęścia, że obok Pryszczyka przechodziła panienka. . . .

—Łydki miała, panie kapitanie, że no! Niech Królikoszczak powie . . .

"Królikoszczak" potwierdził, że "faktycznie."

—I ma się rozumieć, rękawiczkie koło mnie upuszcza. To ja podnoszę i powiadam: pardą, silwuple! A ona mówi: mersi bię. To ja znów mówię: proszę bardzo nie szkodzi. Jak ona to usłyszała, jak nie wrząsnie wu zet polone!—i jeszcze tam coś o ty narodowości. A Królikoszczak mnie szczypie, że niby się nie wolno dekonspirować. Więc spokojnie jej mówię: nic podobnego, szanowna—ną Polone. Ale już było zapóźno, bo jeden agenciak, tajny Niemiec do nas posuwa i zaraz drakie z rumuńskimi żandarmamy o moją osobę urządza.

"Draka" skończyła się fatalnie dla Pryszczyka: znaleziono przy nim pistolet i wojskową legitymację, a że paszport też nie był w porządku, więc odstawiono "inżyniera" prosto do kryminału. Przesiedział tam biedak prawie dwa miesiące, poczem odesłano go do Targu-Jiu pod specjalną eskortą, okradzionego z pieniędzy, posiniaczonego i wychudłego na szczapę. Mimo to Pryszczyk wcale nie stracił fantazji. Nawet nie miał wielkiego żalu do Rumunów, tylko na niemieckich tajniaków był bardziej jeszcze zawzięty.

Zapytałem go o dalsze jego plany i wyraziłem lekkie zdziwienie, że dotychczas stąd nie zwiał. Pokazał mi wymownym gestem swoje łachy i dziurawe kieszenie.

Wkrótce potem wymieniłem Pryszczykowi jego łachmany na wcale porządny mundur i zająłem się nim szczególniej, nie tylko dlatego, aby usprawiedliwić opinię jaką mi wyrobił i zaufanie jakie do mnie żywił, lecz również dlatego, że żywiłem pewne plany co do jego osoby.

Porfirianu miał służbowo przydzieloną ogromną brykę, Chevrolette, która w rękach rumuńskiego szofera psuła się nieustannie i przeważnie była w remoncie. Porfirianu podświadomie czuł, że wszystko co polskie—jest nieskończenie lepsze niż rumuńskie. Porfirianu wiedział, że nasz kierowca dałby sobie radę z jego landarą, ale bał się, że polski kierowca wyrwie przy pierwszej okazji, choćby mu przydać dwóch Rumunów, którzy by go pilnowali. Pewnie by mnie to wszystko mało obchodziło, gdyby nie fakt, że Chevrolette'a miała z tyłu ogromny kufer-bagażnik.

—W takim kufrze mógłby się doskonale zmieścić człowiek, którego trzeba pewnie i bezpiecznie wywieźć z obozu—myślałem.

—W takim kufrze można przywieźć do obozu całą masę cywilnych ubrań . . .

Postanowiłem tedy, że Pryszczyk zostanie kierowcą pułkownika Porfirianu. Zaręczyłem, że nie ucieknie, jak długo będzie pełnił te obowiązki. I Porfirianu przyjął moje słowo honoru. . . . Trudniejszą przeprawę miałem z samym Pryszczykiem. Z początku nie chciał słyszeć o niczym podobnym.

—To po to mnie pan kapitan poratował, żebym tu siedział? Te małpe rumuńskie będę woził, a prysnąć nie mogę z powodu pana kapitana honorowego słowa. No to—gdzie sens?!

Dał się wreszcie przekonać, ale wymówił sobie, że co drugim pasażerem w bagażniku będzie jakiś jego kompan. Zgodziłem się: cóż było robić?

—Pryszczyk, tylko bez lipy—powiedziałem.—Nie zwiejecie bez mego pozwolenia, tak?

Oburzył się.

—Co pan kapitan znowu?! To ja potrzebuję wariata z pana kapitana strugać, żeby Rumunów do wiatru wystawić?! Już jak ja będę wyrywał, to pan kapitan takie opere zobaczy, że no! Sportowem sposobem w butelkie jeich nabije, honorowo!

Stało się to w trzy miesiące po mianowaniu Pryszczyka kierowcą wozu pułkownika Porfirianu. Pryszczyk pewnego dnia przyszedł do mnie bardzo zafrasowany i zaczął rozmowę o pogodzie. Że się wiosna robi i śniegu prawie nie ma, tudzież, że takiego błota w życiu swoim nie widział. Potem poinformował mnie jeszcze, że takie wiosenne powietrze jest bardzo zdradliwe, bo "rematyz" w nim siedzi i człowieka łapie, a on Pryszczyk okropnie do "rematyzu" jest skłonny. Wiedziałem już, dokąd ta rozmowa zmierza, więc zapytałem wprost, o co mu chodzi.

—Mnie?!—zdumiał się, podnosząc wysoko brwi i marszcząc czoło.—Nic podobnego, panie kapitanie. Wcale w zupełności o nic mi nie chodzi, tylko . . . tu jeden by się nadał na moje miejsce; niby za szofera dla pana pułkownika Porfiriana, więc przyszłem, żeby mnie pan kapitan puścił.

—Pewnie już wszystkich swoich chłopaków wywieźliście, a teraz sami chcecie bryknąć, tak?

Powiedział, że "nic podobnego," ale właściwie — "faktycznie," bo tylko Królikoszczak, Maniek Bizun i jeszcze jeden koleżka z Czerniakowskiej z nim zostali.

—A co my z panem pułkownikiem Pofirianem sto dwadzieścia sztuk wywieźli, to wywieźli, może nie?

Świdrował mnie oczyma, drapał się za uchem i widać było, że tak czy inaczej dłużej go tu nie utrzymam, więc musiałem się zgodzić. Zastrzegłem sobie tylko parę dni czasu na formalne załatwienie sprawy zmiany kierowcy.

Jakoś to tam wykręciłem i rzeczywiście w dwa dni później już nowy szofer prowadził Chevrolette'ę pułkownika Porfirianu, Pryszczyk zaś—ku memu zdumieniu—z zapałem wziął się do pracy przy kopaniu rowu odwadniającego wzdłuż głównej ulicy obozu, choć nikt go o to nie prosił. Zobaczyłem go przy tej robocie także nazajutrz i jeszcze bardziej mnie to zaintrygowało, ale nie miałem czasu się tym zajmować. Zauważyłem tylko, że Pryszczyk zdążył już objąć kierownictwo nad kopiącymi. Dyrygował nie tylko Królikowskim, Bizunem i tym trzecim z Czerniakowskiej, ale również innymi. Gadał jak nakręcony, krytykował, poprawiał i "był za dyrektora," czyniąc wiele hałasu i ruchu dokoła swojej osoby.

Następnego dnia miałem kilka spraw do omówienia z Porfirianu. Siedziałem w jego kancelarii, której okna wychodziły na bramę i ową wewnętrzną ulicę obozu, gdzie właśnie ukończono kopanie rowu. Rozmowa z pułkownikiem szła dość gładko. Chodziło jeszcze tylko o jakieś deski, które mieliśmy dostać jak zwykle "immediat" i których wydanie magazynier codziennie odkładał, obiecując, że "myine diminata"[1] będą już napewno. Zdaje się, że cichaczem sprzedali komuś te deski do spółki z pułkownikiem, bo Porfirianu wykręcał się jak piskorz od tematu. Ja zaś chciałem mieć deski jak najprędzej i przemyśliwałem właśnie jak to osiągnąć, gdy nagle mój wzrok, szukając natchnienia za oknem, padł na rozgrywającą się tam scenę.

Nie od razu zrozumiałem o co właściwie chodzi, gdy zaś zrozumiałem wreszcie—nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Pryszczyk i jego trzej koleżkowie "mierzyli" drogę, używając do tego tyczki z długim na 20 metrów sznurkiem, na którego końcu uwiązany był srebrny kieszonkowy zegarek Królikowskiego. Ten ostatni wbijał tyczkę pośrodku drogi, Bizun rozciągał sznur, ten z Czerniakowskiej opuszczał w dół koniec sznura z zegarkiem, odgrywającym rolę ciężarka u pionu; Pryszczyk zaś najpierw sprawdzał, czy sznur jest wyciągnięty równolegle do rowu, potem stawał za Królikowskim, poprawiał tykę i wreszcie ganiał do mieszkańca Czerniakowskiej, brał z namaszczeniem zwisający zegarek do ręki, patrzył która godzina, potrząsał głową, notował coś w zeszycie i przyzywał Królikowskiego z tyką, żeby ją wbić nieco dalej.

Porfirianu wymanewrował rozmowę na sprawę jakiegoś przyjęcia w rumuńskim kasynie, na które mnie zapraszał. Odpowiedziałem, że przyjdę i dałem już spokój deskom: siedziałem jak na szpilkach, rzucając ukradkiem spojrzenia przez okno i z bijącym sercem czekałem, co będzie dalej.

Trzeba było jednak rozmawiać, żeby nie wzbudzić podejrzeń Porfirianu. Zapytałem więc, kto weźmie udział w uroczystości i co będzie do jedzenia, aby tylko coś powiedzieć, on zaś skwapliwie podjął ten temat.

Tymczasem kilku oficerów i podoficerów, wygrzewających się na słońcu przed barakiem rumuńskiej komendy obozu, podeszło bliżej ku drodze, pewnie żeby popatrzeć na inżynierskie poczynania Pryszczyka, który dotarł właśnie do bramy, strzeżonej przez *santinela*[2] i dyżurnego *plutoniera*. Plutonier stał na suchej wysepce wśród fantastycznego błota i gapił się na obłoki, oparty plecami o poprzeczną belkę wrót gęsto okratkowanych kolczastym drutem.

Pomyślałem, że Pryszczyk nie wziął pod uwagę takich okoliczności; że się przeliczył; że zaraz zacznie się awantura, albo że w tym wszystkim kryją się nieznane mi jeszcze sprężyny, które lada chwila zaczną działać: zapalą się baraki gdzieś na drugim końcu obozu? Ciężarowy samochód z prowiantem wpadnie na słup i rozwali bramę? Jakiś alarm odwróci uwagę Rumunów? . . .

Nic podobnego nie nastąpiło. Nie było żadnych ukrytych sprężyn. W chwili gdy Porfirianu zaczął opisywać sposób przyprawiania tujki[3] na gorąco, Pryszczyk zawołał głośno od swojej tyki:

—E! Domnul plutonier!—i wymownym gestem kazał mu się odsunąć na bok.

Podoficer zawahał się: błota było po kostki . . .

Będzie wsypa — pomyślałem. Jest ich czterech przeciw całej gardzie,[4] są oficerowie . . . Przesolił chłopak; to się nie może udać . . . Plutonier zaraz go zaaresztuje.

—No już: wytyki do Ameryki—przynaglił go rezolutnie Pryszczyk, przystępując do tajemniczych praktyk z zegarkiem.

Podoficer jeszcze się wahał, ale wtem jeden z rumuńskich oficerów huknął na niego ostro, żeby nie przeszkadzał Polakom w robocie. Pryszczyk sprężyście zasalutował i uśmiechnął się w stronę oficera. Potem zamierzył bramę w poprzek, wezwał gapiowatego plutoniera do pomocy, otworzył wrota i zaczął sprawdzać pionowe ich zawieszenie. Spoglądał raz po raz na zegarek, to znów zwieszał go na sznurku, wiercił się z tyką tu i tam, drapał się końcem ołówka za uchem, liczył, pisał, marszczył się i w ogóle był ważny jak przysięgły geometra. Wreszcie z zadowoleniem potrząsnął głową i zaczął mierzyć dal[illegible] ale już za bramą . . .

Wracał jeszcze dwa razy do wewnątrz; liczył słupy ogrodzenia, złościł się to na Królikowskiego, to na Bizuna, roztrącał pętających się gapiów i tak był przejęty widoczną wagą spełnianych zadań, że każdy mu ustępował z drogi.

Gdy—ciągle celebrując z tyką, sznurem i zegarkiem—oddalił się poza zasięg mego wzroku, ogarnęły mnie jednak niepokój i nieprzeparta ciekawość: Co będzie dalej? Nie pozwolą im przecież w ten sposób po prostu odejść do miasta? Zawrócą ich z drogi; zapytają, co to ma znaczyć; zatrzymają . . .

Oczekiwałem, że lada chwila wybuchnie strzelanina, rwetes, awantura i coraz mniej dorzecznie odpowiadałem na pytania Porfirianu. Zdaje się, że wreszcie zauważył moje roztargnienie i poczuł się trochę dotknięty. Spojrzał przez okno, ja zaś spojrzałem także w tę stronę z obawą, nie mogąc ukryć zmieszania.

Ale za oknem wszystko było jak zwykle: plutonier wycierał sobie buty wiechciem słomy, opierając kolejno nogi ubabrane błotem po kostki o poprzeczną belkę bramy; *santinel* przechadzał się wolno tam i z powrotem po drugiej stronie drutów z karabinem na sznurku przewieszonym przez ramię; oficerowie siedzieli na ławce nad rowem, paląc papierosy.

Odetchnąłem. Powiedziałem coś o bólu głowy, żeby się usprawiedliwić i podziękowałem za uprzejmie ofiarowane mi miejsce w Chevrolecie, którą pułkownik miał wkrótce pojechać do miasta:

—Pójdę pieszo. Spacer na świeżym powietrzu dobrze mi zrobi.

Wyszedłem śpiesznie i, skinąwszy głową plutonierowi, który mnie dobrze znał, minąłem bramę. Zobaczyłem czterech "geometrów" o dobre 500 kroków od niej, mierzących dalej drogę. Ruszyłem ku nim szybko: za chwilę miał tędy jechać Porfirianu . . .

Już po minucie przekonałem się, że nie zdążę: za mną warczał samochód. Byłem wściekły na siebie. Czemu nie pojechałem z pułkownikiem? Mógł bym opóźnić jego wyjazd; mógłbym zająć go rozmową; odwrócić jego uwagę, mijając zbiegów . . .

—Może się zatrzyma i raz jeszcze zaproponuje mi, że mnie odwiezie—pomyślałem.

Ale Chevrolette'a minęła mnie szybko. Porfirianu spoglądał w inną stronę i wcale mnie nie zauważył.

Stanąłem i patrzyłem. Zaraz się to skończy . . .

Samochód rwał ku miastu. Zaryczał klakson. Pryszczyk i jego towarzysze usunęli się na bok ze swoimi przyrządami mierniczymi. Kierowca zwolnił. Cztery postacie w mundurach wyprężyły się na baczność, salutując. W otwartym oknie mignął rękaw płaszcza z naszywkami pułkownika. Porfirianu odsalutował niedbale i — — pojechał dalej!

Nie tu jest jednak koniec Pryszczykowej przygody; bo oto gdy nazajutrz przyjechałem jak zwykle rano do obozu—pierwszym interesantem, który zameldował się w moim biurze, był Pryszczyk. Zapukał do drzwi, wszedł i—trzasnąwszy wściekle obcasami—stanął przede mną z chmurnym i zaciętym obliczem.

W pierwszej chwili pomyślałem, że go złapali w drodze, którą miał odbyć wraz ze swymi kompanionami przez Turnu-Severin. Ale Pryszczyk powiedział, że "nic podobnego."

—Więc co się stało? Gdzie są tamci: Bizun, i Królikowski, i ten . . . jakże mu tam?

—Pojechali—oświadczył z goryczą.—Za żydowskimi paszportamy jeich wysłali, panie kapitanie. Niby, że do Palestyny za emigrantów jadą . . .

—No, a wy?

Skrzywił się niemiłosiernie. /To miał być uśmiech zakłopotania/.

—Te tyczkie i śpagat odniesłem, panie kapitanie, żeby posądzenia nie było—zaczął, jak zwykle bałamutnie i od końca.

—Jaką znów tyczkę?

—No te, cośmy drogę mierzyli. Jak raz trzech wracało ze *santinelem*, co po pocztę chodzą. To się przyłączyłem, a plutonier wcale nie poznał, że to nie jest Bizun i Królikoszczak i ten trzeci koleżka, owszem bardzo grzecznie *sanatate* mi powiedział, no i, jestem spowrotem nazad w obozie.

—Ale dlaczego nie pojechaliście z nimi?!—zapytałem z naciskiem.

—Rozmyśliliście się, czy jak? Zostajecie tu? Nie chcecie już jechać do Francji?

—Nic podobnego, panie kapitanie! Tylko ten paszport . . .

—Co za paszport?

Wyciągnął złożony na czworo arkusz z kokieteryjną fotografią zrobioną jeszcze w Bukareszcie: smoking, krawat jak postronek i narciarska koszula w kratkę. Podał mi go z rezygnacją.

—Za tem paszportem miałem jechać, panie kapitanie?—zapytał z gryzącą ironią.

Rozłożyłem dokument i czytałem: *Izydor Pupko. Urodzony dnia . . . miesiąca . . . roku—w Lidzie. Wyznanie—mojżeszowe. Zawód—pachciarz i t.d.*

Pryszczyk mówił dalej ze szczerym rozżaleniem:

—Przecie, panie kapitanie, jak ja bym za pachciarza Pupka się przedstawił, to już koniec . . . Takie nazwisko, to nawet żyda może zgniewać. I to jest faktycznie świństwo coś takiego wykompinować—Pupko! Dopiroż by się chłopaki ze mnie nabijali! To co miałem robić? Wziełem ten paszport i przyszłem tu nazad spowrotem, żeby mnie pan kapitan nie dał tak poniewierać.

Żal mi się go zrobiło. Pomyślałem bezstronnie, że i mnie pewnie by nieprzyjemnie było nosić taki pseudonim.

—No, więc jak się chcecie nazywać?—zapytałem rzeczowo.

Pryszczyk rozpogodził się w mgnieniu oka.

—Paderewski Ignacy, melduję posłusznie, panie kapitanie!—wypalił bez namysłu.

Długo musiałem mu tłumaczyć, że choć Rumuni z trudem rozróżniają polskie nazwiska, to jednak Paderewskiegó poniektóry pamięta. Zgodził się wreszcie na Korzeniowskiego, pod warunkiem, że Ignacy mu będzie na imię, a co do fachu—to już może być mechanik, a nie koniecznie inżynier.

—No, a jak się stąd wydostaniecie?—zapytałem po uzgodnieniu tych personaliów.

—Okazyjnie—odrzekł na to krótko.—Już ja sobie poradzę. Tylko jakieś cywilne łachy mi pan kapitan każe dać, to się sposobność zdarzy.

Sposobność zdarzyła się w czasie inspekcji obozu, dokonanej przez generała Oprescu. Działo się to w okresie czasowego pogorszenia się naszych stosunków z Rumunami, podczas wzmożonej kontroli i surowego przestrzegania przepisów przez ich władze wojskowe.

Tego dnia generał osobiście chodził po barakach, złościł się, krzyczał na żołnierzy, wymyślał adiutantom, kłócił się z pułkownikiem Porfirianu i wyładowywał swój gniew na zaczerwienionych gębach *santineli*, okładając je siarczystymi policzkami.

I właśnie w takiej chwili Pryszczyk najnieudolniej jak to sobie można wyobrazić—"bez pojęcia i talentu"—spróbował przemknąć się w cywilnym ubraniu przez bramę, przy której stały zdwojone posterunki . . . Naturalnie złapano go i stawiono przed groźne oblicze generała. Ten ostatni spiorunował go wzrokiem i zapytał, co to ma znaczyć.

—Ja, panie generale, jestem "refugiat"—oświadczył rezolutnie Pryszczyk.—Mechanik z cywila. Szukam roboty. Myślałem, że może tu by mnie pan generał zatrudnił . . .

Generał się zirytował: co za bezczelność! W Rumunii jest dość bezrobotnych Rumunów, a on ma tu zatrudniać polskich przybłędów? Refugiatów?!

—Wyrzucić go za bramę!—rozkazał.—Kto go tu wpuścił za druty bez przepustki? Tacy właśnie przemycają zakazane gazety, alkohol, cywilne ubrania, paszporty. Komendant warty—do raportu! Posterunki—do paki!

Rumuński podoficer niebacznie chciał coś tłumaczyć i natychmiast dostał w pysk. Porfirianu spojrzał uważnie na "rzemieślnika," poznał go zdaje się mimo cywilnego przebrania i już otwierał usta, żeby się wtrącić w tę sprawę, gdy generał wpadł nań z całym impetem:

—To także pańska wina, Porfirianu! Pan za to odpowie! Za takie stosunki! Za łapówki! Za wszystko!

Porfirianu zawahał się. Nagle oczy błysnęły mu chytrze. Trącił mnie w bok i mrugnął na mnie porozumiewawczo, wskazując ruchem głowy generała, a potem Pryszczyka.

—*Idiot* — powiedział półgłosem —*Il s'enfuira, ce gamin.*

—Za bramę tego refugiata, powiedziałem!—wrzasnął Oprescu.

Rozkaz wypełniono z pośpiechem. Domniemany *refugiat* pomknął do miasta, generał zaś poszedł dalej zaprowadzać porządek i dyscyplinę, które miały zapobiec ucieczkom.

PORUCZNIK HERBERT

Por. "Pryszczyk wieje" w nr. 44 w "Polsce Walczącej" z 1941 r.

[1] Jutro rano. [2] *Santinel*—strażnik. [3] *Tujka*—wódka pędzona z winogron. [4] *Garda*—warta.

Nowości lotnicze

Niewątpliwie na pierwszy plan działań lotniczych na frontach wysunęła się mocna ofensywa brytyjska prowadzona nad kontynentem niemieckim lub przez Niemców okupowanym. Znając warunki techniczne i zdając sobie sprawę z trudu, jakiego potrzeba, by puścić w ruch tak olbrzymią machinę, przyznać się musi, że działania ofensywne są dowodem niezwykłej siły liczebnej RAF'u.

Równocześnie fakt przepuszczenia nad jednym celem tego tysiąca bombowców daje świadectwo nie tylko zmysłu organizacyjnego sztabów lotniczych naszych Aliantów, lecz także doskonałej organizacji wszystkich komórek zarówno taktycznych jak i technicznych, od najwyższych—do najniższych. Daje również dowód, że decydujące czynniki zastosowały w całej pełni jedyną racjonalną taktykę lotnictwa bombardującego: koncentracji nad jednym celem, kolejnego niszczenia celów od razu za jednym nalotem, albo dwoma czy trzema bezpośrednio po sobie następującemi atakami.

By uzmysłowić sobie całą potęgę niszczącą podobnej procedury przypomnieć należy, że Niemcy w pierwszym dniu wojny t.zn. 1 września 1939 mieli nad całą Polską osiemset maszyn, w jednym miejscu najwyżej 500 /Modlin/. Zaś w ciągu całej kampanii polskiej, w której działania ofensywne w wielkim stylu dla lotnictwa niemieckiego trwały stosunkowo krótko, największe dzienne natężenie liczebne maszyn nad Polską nie przekroczyło dwóch tysięcy, przy czym suma ta obejmuje już wszystkie rodzaje lotnictwa: myśliwskie, bombardujące, rozpoznawcze czy interwencyjne. Dodać także należy dla pełnego obrazu, że Luftwaffe wystąpiła do walki na zupełnie nowym sprzęcie, z nowiuteńkimi motorami, z załogami pełnymi chęci walki, wypoczętymi, bez nerwów. Potem w kampanii francuskiej, w działaniach przeciw Anglii czy na Wschodzie Niemcy nie byli w stanie wprowadzić dziennie więcej niż przeciętnie tysiąc maszyn.

Natomiast tysiąc maszyn angielskich w trzecim roku wojny, przy równoczesnych działaniach lotniczych na wcale dużą skalę na Średnim Wschodzie—ma wymowę pokrzepiającą ducha dla nas, zaś mieści w sobie złowieszcze ostrzeżenie niedalekiego końca dla germańskiego świata i jego przewódców, szczególnie w chwili, kiedy produkcja sprzętu lotniczego w Niemczech raczej spada, niż się podnosi.

Komunikaty podały dodatkowo, iż zaraz następnego dnia po nalocie na Kolonię /będzie to prawdopodobnie historyczna data/ przeszło tysiąc myśliwców RAF'u pojawiło się nad rozmaitymi celami nad Francją. Działania lotnictwa myśliwskiego przeciw ziemi dla celów niszczenia i dezorganizacji są prowadzone odmienną taktyką. Koncentracje zbyt wielkie byłyby tu szkodliwe. W tym wypadku chodzi o zaatakowanie odpowiednią liczbą maszyn jak największej ilości obiektów. Przeszło tysiąc myśliwców! To znowu przywodzi nam na myśl fakt, że wysiłek był naprawdę olbrzymi. Tysiąc bombowców i tysiąc myśliwców—to razem co najmniej 150 tysięcy ludzi wplecionych w koła zębate niezwykle precyzyjnej maszyny.

Zdumienie ogarnia, że na tak małym odcinku choćby sieć radiowa, od której przecie tak wiele zależy, obciążona nad pojęcie, bo przecież lotnictwo przybrzeżne także było w powietrzu na zwykłych zadaniach, nie biorąc udziału w wyprawie, a myśliwcy nocni w pogotowiu, zdołała zdać egzamin. Tak! Cały RAF zdał egzamin organizacyjny, choćby tym prostym faktem, że już w dwa dni później co najmniej równa ilość bombowców znalazła się nad Essen, a w międzyczasie zarówno działania dzienne, jak i działania nocne nie ulegały żadnej przerwie.

Czy jednakże *tylko* działania bombowe zdołają zwyciężyć Niemcy? Wszyscy jednogłośnie przyszli do przekonania, że Niemcy muszą być zaatakowane nie tylko z powietrza, ale i z ziemi. Złamany moral ludności, a nawet wojska, nie daje ostatecznego zwycięstwa. To dopiero zadatek zwycięstwa, szanse zwycięstwa. Tej prawdy dowiodła poprzednia wojna. Bez pobicia na ziemi, bez okupowania na czas dłuższy ziemi przeciwnika prędzej czy później moral nieprzyjaciela może się odrodzić. Moralne zwycięstwo daje w rękę psychologiczną podstawę odrodzenia: chęć rewanżu, chęć pokazania siły, dążność do jej wzmocnienia, przy niewierze w rzeczywistą siłę zwycięzcy. Na takiej bazie można stwarzać legendy rozmaitego rodzaju, które stają się nowym bodźcem do odrodzenia militarnego pokonanego narodu, jak rzecz się miała z Niemcami.

Niemieccy stratedzy postawili zasadę: tylko zniszczenie żywych sił przeciwnika i zajęcie jego ziemi jest dowodem zwycięstwa i pozwala je wykorzystać. Postawienie nogi na piersi obalonego przeciwnika oto zasada. Należy o tym pamiętać, gdyż jest to formuła święta, znana już Cezarowi i Aleksandrowi Wielkiemu, znana Napoleonowi czy Bismarckowi w równej mierze. Jedno z tych praw, nie podlegających czasowi, nie podlegających zmianom techniki, niezależnych od rozwoju ludzkości, prawo walki jednakie dla zwierząt i ludzi.

Dlatego to ostatecznym wynikiem ofensywy lotniczej aliantów będzie przygotowanie możliwości zwycięstwa—a nie zwycięstwo. Jednak dążąc do tej ostatecznej fazy wojny: zniszczenia przeciwnika na ziemi i okupacji jego kraju, należy przygotowywać wszystkie elementy spokojnie i dokładnie, unikając zbytniego ryzyka, które zawsze przy zbytnim pośpiechu jest nie do uniknięcia. T.zw. bardzo niesłusznie "drugi front" musi być stworzony, ofensywa inwazyjna na kontynent przeprowadzona i wygrana, lecz w czasie i miejscu, które odpowiadać będą Wielkiej Brytanii i jej Aliantom.

Nazwaliśmy niesłusznym nerwowe żądanie "drugiego frontu." Ten front był już nie raz i nie dwa stworzony. I to bez odpowiednika na Wschodzie. Dzisiaj, jeśli chodzi o Niemców, jest on w Libii, odciągając na południe jednostki pancerne i zmotoryzowane Niemców i Włochów, a w równej mierze i lotnictwo, jest w Wielkiej Brytanii, zmuszając Niemców do trzymania we Francji poważnej części tak potrzebnej w kampanii rosyjskiej Luftwaffe i rezerw ludzkich. Widzimy tedy, że już nie drugi, lecz istnieje i działa drugi i trzeci front stworzony przez Wielką Brytanię.

Jest wreszcie na morzach, zmuszając i tam Niemców do wysiłków przechodzących ich możliwości. O ileż byłoby wygodniej dla Hitlera marynarkę, a przede wszystkim lotnictwo ściągnąć z Morza Północnego i Atlantyku a działać koncentrycznie na Czarnym Morzu czy na Białym Morzu i na Bałtyku. Oto front czwarty. Wszystkie te fronty są bardzo krwawe i pochłaniają wielką ilość ofiar w ludziach i strat w cennym materiale, wymagając wielu bolesnych poświęceń.

Teraz z kolei poruszymy w kilku słowach inne zagadnienie. Czy nastąpi zmiana w sytuacji lotniczej, gdyby Turcja i inne państwa kontynentów europejskiego i amerykańskiego stanęły bez wyjątku po stronie Wielkiej Brytanii i Ameryki?

Trzeźwa odpowiedź brzmieć musi: nie nastąpi, lub zupełnie niewielka, w każdym razie na rozgrywkę w Europie bezpośrednio nie wpłynie. Stany bojowe lotnictwa poszczególnych mniej lub więcej neutralnych są szczupłe, sprzęt niezestandaryzowany, zapasy niewielkie, bardzo często opierające się na niemieckich typach w chwili wybuchu wojny będą zmuszone oprzeć się na fabrykach brytyjskich i amerykańskich. Toteż Wielka Brytania i Ameryka w tym dziale broni skazane są na własną wytwórczość i własne siły. Rosną one jednak tak szybko, że możemy spokojnie patrzeć w przyszłość, choćby w obecnym układzie frontów na ziemi nastąpiły zmiany na niekorzyść Aliantów. Wprawdzie zwycięstwo odniosą wojska ziemne, lecz zadecyduje o możliwości zwycięstwa tylko i wyłącznie—lotnictwo.

ADAM STERBAŁŁA

Za spokój duszy
św.p. TADEUSZA ŻELEŃSKIEGO /Boy'a/
Wielkiego Pisarza
zamęczonego w niemieckim obozie koncentracyjnym odbędzie się w piątek, 26 czerwca, o godzinie 9.30 rano Nabożeństwo Żałobne w kościele św. Jakuba, Spanish Place, George Street, W.1 na które prosi wszystkich Rodaków

Zarząd PEN Clubu Polskiego

Szkic sytuacyjny

LIBIA I EGIPT

Opinia brytyjska zdaje sobie sprawę ze znaczenia i powagi porażki w Libii. Z szczerością, jaka cechuje naród angielski w chwili niebezpieczeństwa, *prasa angielska uderza ostro i gwałtownie na optymizm tych sfer, które starały się przedstawić nadmiernie różowo położenie i pomniejszyć walory przeciwnika.* Anglia jest poruszona do głębi doniesieniami z Libii a szczególnie poddaniem się Tobruku. Rzeczy te przyszły zbyt szybko, nie sądzono, ażeby Rommel uporał się z punktami, które posiadają swoje imię w dziejach tej wojny. *Tobruk był właśnie takim symbolem hartu i oporu.* Upadek jego—niewątpliwie przedwczesny — wywołał w opinii angielskiej oburzenie i gniew.

Wielokrotnie na tych łamach pisaliśmy o zmiennych losach kampanii libijskiej. Powtarzaliśmy przytem do znudzenia, że *kampania ta musi być skończona,* albowiem inaczej Rommel urośnie nadmiernie w siły. Niszczenie sił nieprzyjacielskich to zadanie piękne, ale trzeba jednak zdecydować się kiedyś na oczyszczenie całego obszaru od wroga. Powtarzaliśmy także, że *Afryka musi być wolna zupełnie od Niemców,* inaczej—nic nie jest w tej strefie pewne.

Podkreślaliśmy również, że *Morze Śródziemne jest zagrożone* niebywale przez Rommla i przez obecność "Luftwaffe" na Sycylii. Znaczenie zachodniej połaci tego morza spadło wielce dla sojuszników—a ostatni konwój, który przebił się przez bomby i ataki lotnicze do Malty i Tobruku, dowiódł, że panowanie w tej strefie jest pod znakiem zapytania. "Daily Mail" kilka dni temu powiedział bez ogródek, że jest ono śmiertelnie zagrożone, a podobne zdanie wyraził sprawozdawca lotniczy "Sunday Timesa," Peter Masefield. Znawca ten oddawna wyznaje pogląd—jakże słuszny—że przy posiadaniu baz lotniczych wszelkie cieśniny morskie i wszelkie "*narrow seas*" są wielce zagrożone. Marynarka wojenna, nawet najpotężniejsza, nie poradzi nic przeciwko ześrodkowanym atakom lotnictwa. Okazało się to dowodnie na losach konwojów, okazało się to na Morzu Śródziemnym i na Oceanie Spokojnym.

Skoro Rommel uzyskał swobodę przesuwania zaopatrzenia i sprzętu, począł *pompować do Libii uzbrojenie.* Wiadomo było, że na wiosnę był on silniejszy niż kiedykolwiek. Pierwsze rundy starcia w Libii wypadły pomyślnie dla Anglików. Potem przyszły chwile mniej pomyślne. Niemcy zaczęli zrzucać karty, jakich nie podejrzewano. Przyszły do głosu działka przeciwpancerne o takiej szybkości początkowej, że pancerze solidnych czołgów nie wytrzymywały. Artyleria przeciwlotnicza czyli *tzw. A.A. guns,* użyte zostały przeciwko czołgom. Ta zasadzka niemiecka sprawiła, że Anglicy ponieśli wielkie straty w czołgach i że 8-a armia utraciła sporo ze swej osłony pancernej.

Potem przyszło oddanie Bir Hakeimu, które zdecydowało o losie Tobruku. Rommel ruszył pomimo gorąca i pomimo zamieci piaskowych. Czuł on, że jego szansa jest "*teraz albo nigdy.*" Szybkość jego poruszenia zaskoczyła dowództwo brytyjskie. Gdyby Rommel nie był tak szybki, Tobruk mógłby zostać wyewakuowany.

Co dalej? Wydaje się, że *Rommel nie będzie czekać na nadejście chłodniejszej pory, ale ruszy.* Przemawia za tym fakt, że czynnik czasu jest dla niego nader istotny. Jego powodzenie zależne jest od pośpiechu. Nie może on pozwolić na to, aby cofające się oddziały armii 8-ej zostały wsparte odwodami.

Pośpiech Rommla sprawia, że *druga faza jego uderzenia będzie z konieczności gorzej przygotowana* i że wtedy właśnie zjawia się możliwość wyszukania słabego punktu w jego maszynie. Trzeba jednak wiedzieć *już teraz,* gdzie jest ten punkt i tam uderzyć odpowiednio wcześnie. Trzeba już teraz mieć plan. Trzeba już teraz pochwycić nowe uderzenie niejako za uzdę i osadzić w miejscu.

NARADY CHURCHILL-ROOSEVELT

Na temat rozmów, jakie przeprowadził Churchill w Stanach Zjd. nie posiadamy na razie żadnego urzędowego oświadczenia. Za parę dni spodziewać się należy mowy samego Churchilla w Izbie Gmin. Opowie on wtedy—przypuszczalnie w ogólnych zarysach o tym, co przyniosły narady przeprowadzone w Waszyngtonie czy pod Waszyngtonem, jak i o tym, jakie plany istnieją, jeżeli chodzi o kampanię na Środkowym Wschodzie. Izba Gmin domagać się będzie oczywiście wyjaśnienia powodów porażki w Libii.

Narady Churchill-Roosevelt dotyczyły niewątpliwie głównie zagadnienia żeglugi, albowiem straty w *shippingu* są dzisiaj najważniejszym zagadnieniem. Jest jasne, że nie można dopuścić do powiększania się tych strat. Jak wyrównać braki, jak zasilić stan żeglugi—oto pytania, najbardziej palące. Przewożenie mas ludzkich i sprzętu na fronty walki jest właśnie zależne od żeglugi i tonażu. Podobnie i drugi front /a właściwie trzeci, albowiem front w Libii *jest* frontem drugim/, front, który ma wesprzeć Rosję. Wszystko to zależy od żeglugi.

Obok tej sprawy są tysiące innych—a więc od daty otwarcia frontu na kontynencie Europy /co do tego nie wiemy czy zapadła jakaś decyzja/, kierownictwa tej akcji, przygotowania i pogotowia lotniczego, aż po plany gospodarcze i plany odbudowy zrujnowanego świata. Narada dwóch kierowników mocarstw anglosaskich przyniesie napewno wyjaśnienie wielu punktów, ale jasne jest, że dla ogółu liczne momenty muszą pozostać *nieznane.*

SEBASTOPOL WALCZY

W chwili kiedy piszemy te słowa —w rocznicę ataku niemieckiego na Sowiety—wojsko niemieckie czyni rozpaczliwe wysiłki, ażeby zdobyć Sebastopol. Komunikaty niemieckie głoszą, że dokonano niebywałego skoncentrowania artylerii ciężkiej wokoło tej twierdzy, która oporem swoim zyskała sobie szacunek świata. Sztab niemiecki daje do zrozumienia własnemu narodowi, że zrobiono wszystko, ażeby zmniejszyć straty w ludziach i ażeby poprzedzić atak straszliwym *przygotowaniem artyleryjskim.* Pomimo tych zapewnień wiadomo, że *straty niemieckie pod Sebastopolem są poważne.*

Na razie tylko pod Sebastopolem Niemcy nacierają na serio. Na innych odcinkach obie armie zajmują pozycje i starają się je poprawić—"Times" nazywa to "rozpychaniem się łokciami," ażeby uzyskać lepsze stanowiska. Ofensywy na wielką skalę nie widać i w danej chwili nie wiemy kiedy ta ofensywa nastąpi. Wydaje się, że dowództwo niemieckie ciągle jeszcze *na coś czeka.* Czy jest to wynik sebastopolski czy libijski—nie wiemy.

Jasne jest, że wszelkie próby atakowania Kaukazu nie są celowe, jeżeli Krym nie jest "czysty." Jest także jasne, że lotnictwo niemieckie działa dzisiaj w większej mierze w Libii, aniżeli na Krymie, gdzie artyleria ma więcej do powiedzenia aniżeli aparaty typu "Stuka." Lotnictwo niemieckie ma pełne ręce roboty i zwija się jak w ukropie . Nic dziwnego, że nie posiada ono silnych stawek na Zachodzie i że odpowiedzi na uderzenia RAF'u muszą być anemiczne. Ale Rzesza wychodzi dalej z założenia, że trzeba koncentrować swoje uderzenia i że na razie trzeba na Zachodzie *stulić uszy.*

Operacja libijska jest dla Niemców w danej chwili z wielu względów najważniejsza. *Jest najważniejsza, albowiem trzeba im strawy sukcesu.* Powolne zdobycze w Rosji nie dają tego wyniku. Powodzenia w Libii odbijają się natomiast echem w świecie, posiadają swoje znaczenie jeżeli chodzi o ludy i narody Bliskiego i Środkowego Wschodu, posiadają swoją wymowę dla USA.

KRYTYCZNE MIESIĄCE

Lato zapowiada się jako czas nader krytyczny. Garvin pisząc na łamach "Sunday Expressu" (dokąd przeniósł się z "Observera"), powiedział w swoim rozbiorze z niedzieli dnia 21-ego czerwca, że "najbliższych sześć miesięcy zadecyduje o wyniku wojny." Nie wiemy, czy proroctwo Garvina jest słuszne. Najbliższe półrocze będzie nader ważne, ale nie wiemy, czy przyniesie przełamanie się passy. Raczej należało by powiedzieć, że najbliższym zadaniem jest wytrzymanie do zimy, wytrzymanie ciosów, utrzymanie w ryzach nerwów, *ażeby na wiosnę 1943 stanąć do zadania jakie nas czeka—zadania przejścia do celowej, planowej i mądrej ofensywy.*

Ofensywa przedwczesna, nieplanowana, byłaby tylko ofensywą niemądrą. Musi być ona przygotowana w każdym szczególe, albowiem wojna obecna to matematyka, to technika, to detaliczne, drobiazgowe wypracowanie zadania. Można by powiedzieć, że dzisiaj wygrywa się bitwy jeszcze *przed ich rozpoczęciem*—w przygotowaniu, w grupowaniu, rozmieszczeniu sprzętu, w zasobach, w organizacji. Wojna obecna daje stale przewagę tym, co umieją *organizować,* umieją przewidywać jak i tym, co nie boją się ryzyka.

Dlatego, jeżeli mamy rozpocząć ofensywę, musimy przygotować ją tak, ażeby nie spotkało nas żadne rozczarowanie. Nie może być mowy o żadnych niedociągnięciach. Nie może być niczego, co pozostawia się na los szczęścia. Nie może być *domysłów.* Musi być idealna praca, musi być pierwszorzędna organizacja.

Stać nas na to niewątpliwie. Musimy jednak zebrać te siły które są rozproszone, musimy także więcej pracować, *więcej czynić wysiłków, więcej cierpieć ograniczeń.* Dalej jeszcze okazuje się, że nie doceniamy siły uderzenia wroga, że staramy się zlekceważyć jego przemyślność, zapobiegliwość , energię. Trzeba raz z tym skończyć—albowiem *niedocenianie wroga musi skończyć się porażką.*

Nie ma zwycięstw automatycznych. Libia potwierdziła tę oczywistą prawdę. Musimy wyciągnąć z tego wnioski i przejść do akcji najbardziej energicznej —albowiem /powtórzmy raz jeszcze tę prawdę, którą powtarzamy tu do znudzenia/ *tylko największym, nadludzkim wysiłkiem możemy wygrać. Największym, nieludzkim. Wszystko inne jest niedostateczne.*

Londyn, 22 czerwiec 1942.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Poradnik żołnierski

19(10)/42 Z.

K.B. Szkocja.

Pisze Pan: "Bardzo chciałbym pływać na statku polskiej marynarki handlowej. Jestem młody i silny i mam pełne przekonanie, że służba w marynarce nie będzie dla mnie za ciężka. Zresztą marynarka handlowa spełnia bardzo poważną rolę, zatem mój udział w jej wysiłkach oceniam jako bardzo pożądany."

Po zasięgnięciu informacyj u miarodajnych czynników wyjaśniamy:

1/ Rola marynarki handlowej jest bezsprzecznie bardzo poważna. Na niej spoczywa obowiązek przewożenia żywności, sprzętu wojennego etc. z odległych krajów dla wysp brytyjskich i odwrotnie. Wyczyny jej są bardzo duże, dzięki niej nie odczuwamy braków żywności, jej zasługą jest, że sprzęt wojenny może być kierowany tam gdzie należy. Poważna ilość jednostek marynarki handlowej pływa pod polską banderą. Naczelny Wódz kilkakrotnie dał wyraz uznaniu dla naszych marynarzy.

2/ Zgodnie z naszymi ustawami marynarka handlowa nie stanowi części Sił Zbrojnych. Każdy obywatel polski będący w wieku określonym ustawą zobowiązany jest do odbycia służby czynnej w szeregach Wojska, Lotnictwa lub Marynarki Wojennej, o ile uzyska odpowiednią kategorię zdrowia /Kat. "A"—zdolny do zasadniczej służby wojskowej, "Kat. "C"—zdolny do służby w pospolitym ruszeniu, Kat. "D"—zdolny do pomocniczej służby wojskowej/. Ustawowo zatem rzecz biorąc, każdy marynarz marynarki handlowej jest bądź przedpoborowym, bądź też oficerem lub szeregowym rezerwy, pospolitego ruszenia, pomocniczej służby wojskowej lub stanu spoczynku Wojska, Lotnictwa, względnie Marynarki Wojennej.

Przejście z szeregów Wojska, Lotnictwa wzgl. Marynarki Wojennej do służby w polskiej Marynarce Handlowej wymaga uprzedniego zwolnienia z czynnej służby wojskowej, którego udzielić może Minister Spraw Wojskowych względnie upoważnione przezeń osoby. Wytyczne określające tok postępowania w danym wypadku w ogólnym zarysie przedstawiają się następująco:

1/ przebywający dotychczas poza wojskiem, lotnictwem, marynarką wojenną, po ustaleniu ich stosunku do służby wojskowej przez Konsularną Komisję Poborową, jeśli pływali ostatnio na statkach handlowych—są zwalniani dla potrzeb polskiej marynarki handlowej, o ile władze tejże marynarki na nich reflektują.

2/ odbywających czynną służbę w Marynarce Wojennej może zwolnić dla potrzeb marynarki handlowej Szef Kierownictwa Marynarki Wojennej, o ile względy służbowe na to zezwalają.

3/ odbywających służbę czynną w Wojsku i w Lotnictwie, Centralne Władze Wojskowe mogą zwolnić dla potrzeb marynarki handlowej o ile:

—byli przedtem marynarzami marynarki handlowej,

—władze marynarki handlowej na nich reflektują.

—właściwi przełożeni, kierujący się potrzebami służby, wyrażą swą zgodę,

—wiek, kategoria zdrowia i posiadana specjalność wojskowa nie kolidują zbytnio z potrzebami Wojska lub Lotnictwa.

Udzielając tych informacyj chcemy równocześnie zaznaczyć, że jeśli chodzi konkretnie o Pana, to zwolnienie Pana natrafi przypuszczalnie na bardzo poważne przeszkody, albowiem:

—ma Pan lat 22, kat. "A,"

—w marynarce handlowej nigdy Pan nie służył,

—jest Pan wyszkolonym w obsłudze sprzętu artyleryjskiego.

Nie mamy wątpliwości, że Pańscy przełożeni zaopiniują prośbę Pana—musiałby Pan ją złożyć w drodze służbowej—bez poparcia. Nie mniej jednak chcemy również stwierdzić, że wiek, kategoria zdrowia i Pańska specjalność wojskowa kwalifikują Pana bezwarunkowo do czynnej służby wojskowej. "Brak przygód," jak to Pan podaje, nie może uzasadniać prośbv Pana choćby z dwóch względów:

—w marynarce handlowej samych przygód szukać nie można,

—nie ma żadnej pewności, czy pozostając w wojsku nie zakosztuje Pan "przygód wojennych," może nawet wcześniej, niż się Pan spodziewa.

20(12)/42 Z.

S.Z. Bliski Wschód.

Za miły list serdecznie dziękujemy. Osób, o które Pan zapytuje, poszukamy, a o wyniku natychmiast powiadomimy. Na ostatnie pytanie Pana udzielamy już dziś odpowiedzi, a mianowicie:

Podoficerowie armii cudzoziemskich oraz ci, którzy w byłych armiach zaborczych otrzymali stopień podoficerski przed dniem 11 listopada 1918 r., otrzymują w Wojsku Polskim zasadniczo stopień przedtem posiadany. Sprawa jednak uznania tego stopnia winna być przed załatwieniem przedstawiona Centralnym Władzom Wojskowym z opisem kwalifikacyj służbowych i stopnia wyszkolenia.

21/42 R.

st. strz. Z. G. Wit.

Adresy Polaków w Ameryce, pragnących korespondować z żołnierzami polskimi, ogłoszone w numerze 23 "Polski Walczącej" wszystkie z wyjątkiem jednego, przy którym to zaznaczono, odnoszą się do osób zamieszkałych w Stanach Zjedn. A.P. Należy więc po adresie podanym dodać tylko: U.S.A. i pisać do wybranej osoby bezpośrednio, nie przez redakcję.

22/42 R.

plut. podch. Franciszek Dług.

List Pana w sprawie korespondencji z Polakami w Ameryce przekazaliśmy kol. Laszkowskiemu. Pięknie to z Pana strony, że Pan oddał swoją znajomość angielskiego na użytek kolegów, pragnących korespondować z Ameryką. Ile dobrego w ten sposób można zrobić dla sprawy polskiej!

23/42 R.

Wł. Kam /R.A.F./

Żądane egzemplarze do Meksyku wysłaliśmy. Dziękujemy uprzejmie za pośrednictwo. Wszystkich Kolegów, którzy mają krewnych i znajomych poza W. Brytanią w krajach sprzymierzonych i neutralnych—zachęcamy do wysyłania "Polski Walczącej" do tych krajów.

Pomoc dla Polaków w Rosji: £2,109

UZUPEŁNIAMY PIERWSZĄ OFIARĘ POLAKÓW Z ROSJI DLA POLAKÓW W ROSJI

Żołnierze II Batalionu Pierwszej Brygady i uczestnicy zjazdu b. Żołnierzy I Dywizji obecni na przedstawieniu "Lwowskiej Fali" dn. 21 czerwca 1942 zebrali kwotę £34.2.9 i 1 dolar kanadyjski na pomoc dla Polaków w Rosji.

* * *

Drogiej i miłej Koleżance Władysławie Majewskiej składamy w dniu Imienin szczere i gorące życzenia przekazując zamiast upominku 30 szylingów na pomoc dla Polaków w Rosji.

Koleżanka i koledzy z "Lwowskiej Fali"

LOTNICTWO POLSKIE W ANGLII I W SZKOCJI RODAKOM W ROSJI ROK 1942

Załączam Postal Order na sumę £1.18.0 /jeden funt i osiemnaście szylingów/ zebrane na zabawie żołnierskiej w 309 Dyonie z przeznaczeniem na Pomoc Polakom w Rosji.

Oficer Oświatowy

* * *

Przesyłam £10 dla Polaków w Rosji.

Z. Purzycki R.A.F.

W załączeniu przesyłamy Postal Order na sumę sh.10 na pomoc dla Polaków w Rosji, zamiast kwiatów na grób ukochanej córeczki Elżuni w dniu drugiej rocznicy Jej zgonu oraz imienin.

Irena i Juliusz Erlichowie

* * *

Otrzymane od p. Łąskiej sh.10 jako zwrot za opał pomieszczenia dla Szkoły Polskiej przekazuję na pomoc Polakom w Rosji.

Marta Suzin

* * *

Przy niniejszym załączam Postal Order na £2.13 zebrane na odczycie p. M. Korwin urządzonym przez Ośrod. Rodz. Wojsk. w Kelso. Sumę powyższą prosimy przekazać na pomoc Rodakom w Rosji.

Przewodnicząca Ośrodka

J. Bahrynowska, J. Masalska

* * *

Zamiast kwiatów w dniu imienin dla p. Janki M. przesyła £1 na pomoc Polakom w Rosji.

T.W.

* * *

Ppłk. Sztabu gen. Karol Lukas, czechosłowacki attaché wojskowy przy Rządzie Polskim przekazał £5.

* * *

Panie Redaktorze,

Zamiast prezentu imieninowego dla Tatusia proszę przyjąć załączoną kwotę sh.10 na Pomoc dla Polaków w Rosji.

Hougton-le-Spring 16.VI.42.

Danka Gajdek

* * *

Przesyłam sh.10 złożonych na moje ręce przez naszego rybaka z Helu p. J.B. z przeznaczeniem na Pomoc dla Polaków w Rosji.

Z szacunkiem

Zofia Żardecka

* * *

Zamiast kwiatów na grób ś.p. Jadwigi Dynowskiej £1 ofiaruje.

H.H.

* * *

Nadto na ten cel przekazano: bezimiennie — za pośrednictwem p. Marty J.—£10; F.M. nieprzyjęte honorarium za artykuł drukowany w "Polsce Walczącej"—£1 sh.10; kpt. Musz. sh.2 zamiast udziału w kosztach wysyłki na Bl. Wschód.; st. sierż. Żuk. sh.4 zamiast pokrycia kosztów fotografii, reprodukowanej w "Polsce Walczącej," na której rozpoznał Żonę przebywającą w Rosji.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £70.19.9 /słownie siedemdziesiąt funtów, dziewiętnaście szylingów, dziewięć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £2,109.10.10 /słownie dwa tysiące sto dziewięć funtów, dziesięć szylingów, dziesięć pensów/ 108 pesetów hiszp. i 1 dolar kanadyjski.

Skrzynka pocztowa

W SPRAWIE ARTYKUŁU: "RUCHOME OBRAZY"

Szanowny Panie Redaktorze,

Śpieszę wyrazić Panu Redaktorowi słowa żalu, że z powodu mego artykułu zamieszczonego w nr. 23 "Polski Walczącej," pismo Pana zaatakowane zostało w sposób napastliwy i niewybredny przez p. Nowakowskiego na łamach "Wiadodomości Polskich."

Artykuł ten p.t. "Ruchome obrazy" pisałem pod wpływem rozmowy z człowiekiem, dla którego fakt niepodległości Polski jest faktem ujemnym. Temu obrazowi przeciwstawiłem obraz mój własny, obraz Polski takiej w jakiej żyłem, obraz mego pokolenia, pokolenia dzisiejszych żołnierzy. Celem moim było podkreślenie rzeczywistości, uwypuklenie jej, skontrastowanie z tym, co twierdził ów człowiek. Dać chciałem obraz umiłowania polskości wolnej, niepodległej, radości z faktu odzyskania tej wolności. Bodaj najwięcej tej radości znalazłem w murach Wszechnicy Jagiellońskiej, dlatego o niej pisałem, dlatego wróciłem myślami do czasów studenckich, do owego wykładu, o którym piszę, do owych słów przez ludzi nauki wypowiedzianych. Słów tych nie cofam i słów tych się nie wstydzę. Trzeba je tylko właściwie zrozumieć.

Artykuł p.t. "Ruchome obrazy" zawierał m.in. następujące zdanie: "Cisza zalega ogromną aulę, wykład ma prof. Stanisław Wróblewski. Pierwszo-roczniaki słuchają z pootwieranymi ustami. Profesor mówi jasno, zrozumiale, piękną polszczyzną. Widzę siebie w jednej z pierwszych ławek, zasłuchanego, z oczami utkwionymi w mówiącego. W ciągu wykładu mówi, że niedawno temu nie marzył jeszcze nawet, że będzie mógł wykładać po polsku w polskiej uczelni. . . ."

Na tym zdaniu zbudował p. Nowakowski tezę, jakobym twierdził, że w Krakowie wykładano dawniej po niemiecku, jakoby Uniwersytet Jagielloński był niemiecką uczelnią.

A tymczasem to zdanie Wróblewski rzeczywiście wypowiedział, wyraził w nim swoje wzruszenie, poruszył nim wszystkich słuchaczy owego wykładu, słuchaczy, którzy częściowo dziś w Anglii się znajdują i mogą potwierdzić efekt, jakie ono wywołało, myśl, jaką wyrażało. Wróblewski i Zoll cieszyli się z odzyskanej wolności i zmianę roku 1918 uznali za zmianę zasadniczą, wspaniałą. Mówili, że nie marzyli o wykładaniu tak, jak mogli wykładać wtedy, gdy ja do nich po wiedzę przyszedłem. Pomimo tego, że poprzednio Uniwersytet Jagielloński był polską uczelnią, pomimo, że wykładano w nim po polsku. I myśmy ich rozumieli. Tylko p. Nowakowski nie rozumie.

Napisałem prócz tego, że prof. Wróblewski mówił piękną polszczyzną. Istotnie mówił—przepiękną! Stwierdziłem to bez zdumienia, które p. Nowakowski usiłuje zasugerować. Uderzyło mnie to, tak samo jak innych moich kolegów, uderzyło i zachwyciło zarazem. Przy tak wielkim braku mówców w Polsce, przy tak częstym, nawet na tym samym uniwersytecie nudzeniu słuchaczy, nie tematem, lecz głosem, nie treścią, lecz formą, Wróblewski był balsamem duchowym, był nie tylko nauczycielem, ale i artystą. Swoją polszczyzną porywał i entuzjazmował, kazał słuchać z zapartym oddechem rzeczy pozornie trudnych, męczących—ponieważ tak umiał mówić po polsku! O tym myślałem, to odczuwałem słuchając jego słów, o tym później wspominając, pisałem.

Tak, jestem początkującym i młodym w sztuce pisania. Co do tego p. Nowakowski ma rację. Powinienem być kontrolowany przez starszych, wiem o tym i tej kontroli pragnę, jako sprawdzianu i jako nauki. Atakowany artykuł przeszedł kontrolę, zarówno przed jak i po wydrukowaniu. I nikt, podkreślam: *n i k t* nie dopatrzył się wniosków p. Nowakowskiego, nikt nie zwrócił mi uwagi na owe "niebywałe brednie," nikt nie potrafił tak świadomie spaczyć myśli i idei całego artykułu. P. Nowakowski skontrolował mnie bardzo swoiście—zastosował ton lekceważenia i zgryźliwości, ton górny i dokuczliwy. Chciał poniżyć i ośmieszyć pismo, do którego pisałem, pismo żołnierskie. Chciał mnie poniżyć. Tymczasem sam zeszedł bardzo nisko, bardzo wdół, aż doszedł do sposobów polemicznych, na które nie ma miejsca w kraju, w którym żyjemy. Zapewne nie będzie—pragniemy tego i wierzymy w to—miejsca także w powojennej Polsce.

Zdanie świadomie wyrwane z całości daje obraz błędny, obraz spaczony, obraz wiszący do góry nogami. Z niego wyciąga się równie fałszywe wnioski: ". . . i teraz żołnierz nasz przeczyta, że na Wszechnicy Jagiellońskiej przed wielką wojną wykładano po niemiecku." Gdzie tak przeczyta? Skąd to zrozumie? Czy z moich słów i myśli, czy też raczej z sugestii i wniosków autora "Pomnika"?!

W kraju, w którym żyjemy panuje niezwykle wysoki poziom walki słowem, zasada "fair play" jest w tej walce pierwszym przykazaniem. Do tej zasady p. Nowakowski odwołuje się często, gdy żąda stosowania jej przez innych w stosunku do siebie. Zapomina o niej łatwo i prędko, gdy sytuacja jest odwrotna. Dowodem tego jest ów "Pomnik"—pomnik piękny Uniwersytetu Jagiellońskiego, o wiele mniej piękny dziennikarza i człowieka.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania.

Zygmunt Nagórski jr.

KORESPONDENCJA Z AMERYKĄ

Szanowny Panie,

Korzystając z znakomitej i doskonałej sposobności jaką znalazłem w numerze 23 "Polski Walczącej" z b.r. napisałem dwa listy do Rodaków w U.S.A. i to jeden w imieniu własnym, a drugi zaś w imieniu i na prośbę kolegi, który bardzo słabo pisze po polsku oraz w innych językach również, a jest on zainteresowany w danym nazwisku i adresie. Zaznaczam, że dostosowałem się do wskazówek WPana.

Ponieważ dobrze znam angielski, więc listy napisałem po angielsku, gdyż autorzy listów prosili w miarę możności o pisanie w angielskim. Spodziewam się, że zechcą coś napisać w odpowiedzi.

Przepraszając zatem za mimowolne zabieranie czasu pozostaję z poważaniem.

Długajczyk Franciszek

* * *

P. Paweł Wytreniec ma list w Redakcji i proszony jest o podanie swego adresu.

"Zarząd Stowarzyszenia Prawników Polskich w Zjednoczonym Królestwie zawiadamia, że biuro Stowarzyszenia mieści się obecnie: 62/64 Brook Street, London, W.1 /lokal Sądów Morskich/. Sekretariat przyjmuje w czwartki o godz. 11.30—12.30. Składki można wpłacać w biurze Stowarzyszenia każdego dnia w godz. 10—1, bądź też przekazami pocztowymi nieprzekreślonymi i niewypełnionymi, przesyłanymi pod adresem biura Stowarzyszenia."

SPIS RZECZY

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.